

Andre Norton

Gwiezdny Łowca

Tytuł oryginału: Star Hunter
Przekład: Katarzyna Karłowska

1

Większy księżyc Nahuatl ścigał mniejszą, zielonkawą kulę swego towarzysza po bezchmurnym niebie, na którym gwiazdy lśniły niczym łuski ogromnego węża, oplecionego wokół czarnej misy. Ras Hume stanął przy grzędzie wonnej lawendy, wytyczającej granice górnego tarasu Domu Rozkoszy. Zastanowiło go, dlaczego przyszedł mu na myśl wąż. Po chwili zrozumiał. Z tym obiektem odwiecznej ludzkiej nienawiści, sprowadzonym przez człowieka z rodzinnej planety na odległe gwiazdy, kojarzyła się symbolicznie złowrogo skreślona, wklęsła ścieżka przecinająca ten teren. A samego Wass, tak na Nahuatl, jak i kilkunastu innych światach reprezentował wąż.

Pierwsze podmuchy nocnego wiatru poruszały liśćmi egzotycznych roślin z innych światów. Posadzone przemyślnie, miały symulować tajemnice obcych dżungli.

- Hume? - Pytanie wydawało się rozbrzmiewać w przestrzeni nad jego głową.

- Hume - powtórzył spokojnie własne nazwisko.

Strumień oślepiającego światła przebił się przez zieloną gęstwinę, ukazując ścieżkę. Hume zawahał się na moment, odpowiadając obojętnością na ten jakże dobrze mu znany test sprawności władz mentalnych. Wass był VIP-em podziemnego imperium, nie należącym jednak do tego świata, po którym poruszał się Hume.

Zdecydowanym krokiem ruszył oświetlonym korytarzem, między ścianami z liści i kwiatów. Z kępy lilii tharsala łypnęła na niego złośliwie kryształowa bryła. Misternie wyrzeźbione diabelskie rysy były wytworem obcej sztuki. Z płaskich nozdrzy stwora dobywały się smużki dymu i Hume poczuł won znajomego narkotyku. Uśmiechnął się. Takie metody działały być może na zwykłych cywilów, których Wass tu przesłuchiwał. Jednakże pilot gwiazdny, w obecnej chwili Poszukiwacz Ścieżek, posiadał umysł odporny na takie sztuczki.

Stanął pod drzwiami, których nadproże i ościeżnice zdobiły bogatsze jeszcze rzeźbienia. Terrariskie. uznał Hume, i stare, bardzo stare. Być może pogłoski mówiły prawdę, Milfors Wass mógł być naprawdę Terraninem z pochodzenia i to nie w drugim, trzecim czy czwartym pokoleniu gwiazdnej rasy, z których wywodziła się większość tych, którzy dotarli do Nahuatl.

Surowe wnętrze komnaty stanowiło kontrast wobec ozdobnego wejścia. Rdzawe ściany były zupełnie nagie z wyjątkiem owalnego dysku rzucającego mętny, złotawy poblask. Tuż przed nim stało krzesło i długi stół z twardej, rubinowej skały z Xipe, trującej, siostrzanej planety Nahuatl. Nie zatrzymując się i nie czekając na

zaproszenie, podszedł do krzesła i usiadł.

Mętna łuna mogła pochodzić z jakiegoś urządzenia przekąźnikowego. Hume tylko raz rzucił na nią okiem. Rozmowa miała się odbyć w cztery oczy. Nie miał zamiaru długo czekać na swojego interlokutora.

Hume miał nadzieję, że oczom niewidocznego obserwatora prezentuje się jako człowiek, na którym sceniczne dekoracje nie wywierają żadnego wrażenia. Ostatecznie to on miał do zaoferowania coś, na czym zależało tamtym.

Ras Hume ułożył prawą dłoń na stole. Jej opalenizna odznaczała się na tle połyskliwego, wypolerowanego kamienia - idealnie taka sama jak na lewej. Drobną różnicą między prawdziwym a sztucznym ciałem nie stanowiła zasadniczej przeszkody funkcjonalnej. Niemniej jednak kalectwo pozbawiło go stanowiska dowódcy liniowca pasażersko-handlowego i oznaczało koniec wspaniałej kariery gwiazdowego pilota. Wokół ust pozostawiło zaś gorzkie bruzdy, wyrzeźbione głęboko, jakby nożem.

Minęły już cztery lata - czasu planetarnego - odkąd wystartował rigal roverem z wyrzutni na Sargon Dwa. Przeczuwał, że podróż z młodym Torsem Wazalitzem, trzecim z kolei dziedzicem rodu Kogan-Bors-Wazalitz, namiętym amatorem żucia gratzu, może być pełna niespodzianek. Nikt jednak nie wdaje się w spory z właścicielami, o ile w grę nie wchodzi bezpieczeństwo statku. Rigal rover lądował awaryjnie w Alexbut, ciężko ranny pilot sprowadził go dramatycznym wysiłkiem swej woli, nadziei i wiary, które później jednak prędko się rozwiały.

Dostał plasta-dłoń, najlepszą, jaką centrum medyczne mogło dostarczyć, i dożywotnią rentę - rezultat powszechnego podziwu dla kogoś, kto ratował statki i życie. Potem - zwolnienie z posady, ponieważ oszalały Tors Wazalitz nie żył. Nie ośmielili się oskarżyć Hume'a o morderstwo; raporty z wyprawy zostały przesłane prosto do Rady Patrolowej, a znajdujących się w nich dowodów nie można było sfałszować lub podmienić. Nie mogli go ukarać natychmiast, ale mogli mu załatwić powolną śmierć. Rozeszła się wieść, że Hume przestał być pilotem. Usiłowali go trzymać z dala od przestrzeni.

I to pewnie też by im się udało, gdyby był zwykłym pilotem, znającym się wyłącznie na swoim fachu. Jednakże jakiś niespokojny duch kazał mu zawsze starać się o kursy na obrzeża, o pierwsze loty do nowo odkrytych światów. Oprócz zwiadowców, niewielu było kwalifikowanych pilotów w jego wieku, którzy by posiadali tak rozległą i różnorodną wiedzę o galaktycznych pograniczach.

Kiedy się więc dowiedział, że na pokładach statków nie ma już czego szukać, zaciągnął się do Gildii Poszukiwaczy Ścieżek. Istniała ogromna różnica między wznoszeniem liniowca z wyrzutni a organizowaniem amatorskich polowań w dziczy zbadanych i specjalnie strzeżonych światów. Hume przepadał za odkrywczym aspektem tych wypraw i... nienawidził prowadzenia za rękę klientów Gildii.

Jednakże gdyby nie służba w Gildii, nigdy nie dokonałby tego odkrycia na Jumali. Cóż za szczęśliwy traf! Hume zgiął palce z plasta-ciała, przejeżdżając paznokciami po czerwonym blacie. Gdzie jest Wass? Już miał wstać i odejść, gdy nagle ze złotego owalu zaczęły się wydobywać smugi dymu. Po chwili dym zmienił się w rzadką mgłę, z niej zaś wyłonił się człowiek.

Przybysz był niższy od byłego pilota, ale miał szerokie barki, przez co górna część jego torsu wydawała się nieproporcjonalnie rosta w stosunku do wąskich bioder i krótkich nóg. W jego dość konserwatywnym ubiorze wyróżniała się nabijana szlachetnymi kamieniami tarcza, przymocowana na wysokości serca do opiętej tuniki z szarego jedwabiu. W odróżnieniu od Hume'a nie nosił pasa z bronią, lecz Hume nie wątpił, że w całym pomieszczeniu ukryto mnóstwo urządzeń przeciwdziałających ewentualnym próbom zamachu.

Mężczyzna w lustrze przemówił beznamiętnym głosem.

Jego czarne włosy były gładko wygolone nad uszami, a kosmyki na czubku głowy zaczesane w coś na kształt ptasiego gniazda. Podobnie jak Hume, odkryte części ciała miał mocno opalone, lecz, jak pilot się domyślał, raczej od przebywania na słońcu niż w przestrzeni kosmicznej. Ostre rysy twarzy, wydatny nos, cofnięte czoło, podłużne, ciemne oczy, obdarzone ciężkimi powiekami.

- Znakomicie... - Wyciągnął ręce przed siebie, kładąc dłonie na stole, a Hume przyłapał się na tym, że z jakiegoś powodu naśladuje ten gest. - Więc masz dla mnie propozycję?

Pilot, na którym scenografie Wassa nie wywarły najmniejszego wrażenia, nie pozwolił się ponaglać.

- Mam pomysł - poprawił.

- Pomysłów jest bez liku. - Wass oparł się wygodniej, ale nie zdjął rąk ze stołu. - Być może jeden na tysiąc bywa podstawą czegoś użytecznego. Resztą nie ma co zaprzętać sobie głowy.

- Zgoda - odparował pewnym głosem Hume. - Ale taki pomysł jeden na tysiąc może się opłacić po milionkroć.

- I masz właśnie taki pomysł?

- Mam.

Teraz to Hume usiłował zrobić wrażenie na swoim rozmówcy niezachwianą pewnością siebie. Przeanalizował wszystkie możliwości. Wass jest właściwym człowiekiem, być może jedynym partnerem, jakiego uda mu się znaleźć. Nie powinien jednak o tym wiedzieć.

- Chodzi o Jumalę? - spytał Wass.

Jeśli to spojrzenie i towarzysząca mu informacja miały wstrząsnąć Humem, to strzał chybił celu. Odkrycie jego niedawnego powrotu z pogranicznej planety nie mogło nastroczać VIP-owi żadnych szczególnych trudności.

- Być może.

- No dalej. Poszukiwaczu Ścieżek. Obydwa jesteście ludźmi zapracowanymi, to nie czas, by bawić się w gierki słowne i aluzje. Albo dokonałeś odkrycia, które jest warte uwagi mojej organizacji, albo nie. Pozwól, że sam osądzę.

Dopał go. Wass przemawiał własnym kodem. Objął ścisłą kontrolą swą przestępczą organizację, narzucając jej członkom z góry ustalone zasady, z których jedna brzmiała „nie bądź chciwy”. Wass nie był chciwy i właśnie dlatego ludzie Patrołu nigdy nie potrafili wciągnąć go w pułapkę, a ci, którzy prowadzili z nim wspólne interesy, nie chcieli przeciwko niemu zeznawać. Jeśli występowało się z korzystną propozycją i Wass godził się zostać tymczasowym partnerem, wówczas sztywno trzymał się przyjętych zobowiązań. Należało postępować tak samo - inaczej żałowało się swojej głupoty.

- Pretendent do majątku Koganów. Jak ci się to podoba?

Wass nie pokazał po sobie zdziwienia.

- A dlaczego taki pretendent miałby mieć dla nas jakąkolwiek wartość?

Hume docenił to „nas”; potraktowano go jako partnera.

- Jeżeli dostarczysz pretendenta, z pewnością będziesz mógł domagać się nagrody, i to z niejednego powodu.

- Racja. Ale pretendent nie rodzi się ze snów. Prawdziwość roszczeń do majątku będzie musiała zostać zatwierdzona i żadne oszustwo nie przejdzie testów. Tylko prawdziwy pretendent nie potrzebowałby twojej czy mojej pomocy.

- To zależy od pretendenta.

- Tego, którego znalazłeś na Jumali?

- Nie. - Hume wolno pokręcił głową. - Na Jumali znalazłem coś innego...

kapsułę ratunkową z largo drifta, nietkniętą i w dobrym stanie. Istnieją dowody na to, że mogła tam wylądować z rozbitkami na pokładzie.

- A czy istnieje również dowód na to, że ci rozbitkowie przeżyli?

Hume wzruszył ramionami, lekko naprężając swe palce. - Minęło sześć lat planetarnych, kapsuła jest ukryta w jednym z lasów. Nie, na razie nie ma żadnych dowodów.

- Largo drift - powtórzył wolno Wass - mający na pokładzie między innymi Gentlefem Tharlee Kogan Brodie.

- I jej syna Ryncha Brodiego, który w chwili zniknięcia largo drifta miał czternaście lat.

- Rzeczywiście dokonaliście odkrycia.

Wass wygłosił to proste stwierdzenie, by zapewnić Hume'a o jego wygranej. Jeden z tysiąca jego pomysłów został połączony, a teraz podlegał analizie, rozwijany, rozbijany na szczegóły, z którymi nawet nie marzył, że sobie poradzi, przez najsprytniejszy, przestępczy mózg co najmniej pięciu układów słonecznych.

- Czy istnieje możliwość, że ci rozbitkowie tam są? - Wass zaatakował problem prosto z mostu.

- Żadnych dowodów nawet na to, że kapsuła ratunkowa miała na swoim pokładzie jakichkolwiek pasażerów, kiedy lądowała na planecie. Te łodzie są wyposażone w automatyczne sterowanie i uwalniają się same w kilka sekund po alarmie. Mogła tam przewieźć jakichś rozbitków. Ja jednak przebywałem na Jumali przez trzy miesiące z pełną ekipą Gildii i nie znaleźliśmy żadnych śladów.

- Proponujesz więc...?

- Na podstawie mojego sprawozdania, Jumala została wpisana na listę planet nadających się do safari. Taką kapsułę ratunkową mógł równie dobrze odkryć przypadkiem jakiś klient. Każdy teraz zna tę historię, opowiada się ją na wszystkich Terrańskich Dworach Sektora Dziesiątego. Jeszcze dziesięć lat temu Gentlefem Brodie i jej syn mogli być nie znani. Teraz, kiedy należy do nich trzecia część Kogan-Bors-Wazalitz, o każdym znalezisku związanym z largo drift będzie głośno w całej galaktyce.

- Czy już wybrałeś rozbitka? Gentlefem?

Hume pokręcił głową. - Chłopiec. Mówi się, że był inteligentny i mógł zabrać ze statku podręcznik przetrwania. Mógł sam dorastać w dziczy nie odkrytej planety. Użycie kobiety wiąże się ze zbyt dużym ryzykiem.

- Masz całkowitą rację. Ale będziemy potrzebowali niezwykle sprytnego sobowtóra.

- Chyba nie. - Chłodne spojrzenie Hume'a napotkało wzrok Wass. - Musimy tylko znaleźć chłopca o odpowiednim wyglądzie fizycznym i poddać go warunkowaniu.

Wyraz twarzy Wass nie zmienił się, nie dał najmniejszego znaku, że rozumiał aluzję. Kiedy jednak przemówił, w jego beznamiętnym głosie zabrzmiała jakaś nowa nuta.

- Zdaje się, że dużo wiesz.

- Jestem człowiekiem, który słucha - odparł Hume. - I nie zawsze traktuję plotki jako czyste wymysły.

- To prawda. Jako członek Gildii, musisz się interesować korzeniami faktu pod rośliną fikcji - zapewnił go Wass. - Zdaje się, że już opracowałeś jakieś plany.

- Od dawna czekałem na taką okazję - odpowiedział Hume.

- Ach tak. Fuzja Kogan-Bors-Wazalitz wzniciła twój gniew. Widzę także, że nie jesteś człowiekiem, który łatwo zapomina. Jakże ja to rozumiem. Sam mam taką słabostkę, Poszukiwaczu Ścieżek. Nie zapominam i nie wybaczam wrogom, choć po pozorach można mnie osądzać inaczej. Czas nie zmywa win, przed moją zemstą może uratować jedynie odległość.

Hume przyjął to ostrzeżenie - obydwaj muszą przestrzegać warunków umowy. Wass milczał przez chwilę, jakby zostawiał myśli czas, by się zakorzeniła, po czym przemówił ponownie.

- Młodzieniec o odpowiednich cechach fizycznych. Czy masz już takiego na uwadze?

- Chyba tak - odparł lakonicznie Hume.

- Będą mu potrzebne pewne wspomnienia; nagrywanie ich potrwa.

- Mogę dostarczyć te dotyczące Jumali.

- Tak. Będziesz musiał zacząć od taśmy zaczynającej się od jego przybycia do tego świata. Ja przygotuję niezbędne materiały związane z jego rodziną. Interesujący projekt, niezależnie od korzyści, jakie może przynieść. Z pewnością zaintryguje ekspertów.

Eksperci od psychotechniki - Wass dysponował takimi. Ludźmi, którzy przekroczyli granice prawa i znaleźli schronienie w organizacji Wass. Byli wśród nich psychotechnicy wystarczająco zdemoralizowani, by taki projekt bawił ich sam w

sobie, bowiem wymagał przeprowadzenia zabronionych eksperymentów. Przez chwilę, ale tylko przez chwilę, Hume czuł, że coś w nim wzbrania się przed realizacją planu. Zabił to uczucie wzruszeniem ramion.

- Kiedy będziesz chciał wykonać pierwszy ruch?

- A ile czasu zajmą przygotowania? - spytał w odpowiedzi Hume, ponownie przemagając uczucie niepokoju.

- Trzy miesiące, może cztery. Trzeba przeprowadzić badania i przygotować taśmy.

- Minie prawdopodobnie sześć miesięcy, zanim Gildia zorganizuje safari na Jumali.

Wass uśmiechnął się. - Tym się nie powinniśmy kłopotać. Kiedy nadchodzi czas safari, zawsze pojawiają się klienci, klienci bez zarzutu, którzy domagają się, by zorganizowano dla nich łowy.

Hume wiedział, że tak też będzie. Wass miał swoje wpływy nawet tam, gdzie sam VIP był zupełnie nie znany. Tak, mógł liczyć na doskonałą grupę klientów, ludzi poza wszelkimi podejrzeniami, którzy w samą porę odkryją Ryncha Brodie.

- Mogę dostarczyć chłopca wieczorem albo wczesnym rankiem. Gdzie?

- Jesteś pewien swojego wyboru?

- Spełnia wymagania, ma właściwy wiek i wygląd zewnętrzny. Chłopiec, za którym nie będą tęsknić, żadnych krewnych, żadnych więzów, i którego zniknięcie nie zrodzi żadnych pytań.

- Bardzo dobrze. Idź po niego i sprowadź tutaj natychmiast.

Wass przesunął dłoń po blacie stołu. Na czerwonym kamieniu przez kilka sekund jarzył się adres. Hume zapamiętał go, skinął głową. Centrum dzielnicy portowej, miejsce, które można było odwiedzać o najdziwniejszych porach bez wzbudzania czyjejkolwiek ciekawości. Wstał.

- Przyprowadzę go tam.

- Jutro, o dowolnej porze - dodał Wass - przyjdiesz w to miejsce. - Znowu poruszył dłoń i na stole pojawił się drugi adres.

- Tam zaczniesz pracę nad taśmą. To będzie wymagało pewnie kilku sesji.

- Jestem gotów. Nadal czeka mnie przedstawianie długiego raportu Gildii, więc materiał jest wciąż na moich taśmach z notatkami.

- Znakomicie, Poszukiwaczu Ścieżek. Hume, oddaję pokłon nowemu towarzyszowi. - Prawa ręka Wassa wreszcie oderwała się od stołu. - Oby dopisało

nam szczęście.

- Szczęście, które zaspokoi nasze pragnienia - uzupełnił Hume.

- Wiele mówiące stwierdzenie, Poszukiwaczu. Szczęście, które zaspokoi nasze pragnienia. Tak, obyśmy na nie zasłużyli.

„Rój Gwiazd” znajdował się na samym dole rankingu domów przyjemności w górnej dzielnicy. Tu także handlowano rozpusztą, lecz nie tak egzotyczną, jakiej dostarczał Wass. Przeznaczano ją wyłącznie dla członków załóg gwiazdnych frachtowców, których można było szybko i wprawnie, w ciągu jednego wieczora, pozbawić zapłaty za ostatnią wyprawę. Zwodnicze aromaty tarasów Wassa redukowały się tutaj do zwykłych zapachów, z których większość wcale nie była wonna.

Tego wieczora odbyły się już dwa śmiertelne pojedynki. Startowy z pogranicznego kutra pragnął zakończyć kłótnię z astrosztygarem za pomocą śmiercionośnych bieży, wykonanych z ogonów latających jaszczurów z Flangoidu. W starciu obydwaj mężczyźni porozdzierali się nawzajem na strzępy; jeden umarł, a drugi znalazł się o włos od śmierci. Poza tym pewien zabijaka, były kosmonauta, spopielił blasterem jednego z graczy w „Gwiazdy i komety”.

Młody człowiek, któremu kazano posprzątać tego drugiego, zrejterował do cuchnącej alei na zewnątrz budynku, by tam zwrócić posiłek, będący częścią jego skromnej, codziennej zapłaty. Po chwili z pozieleniałą twarzą, trzymając się ręką za brzuch, wślizgnął się ukradkiem do środka.

Był szczupły, delikatne kości jego twarzy ciasno opinała blada skóra, żebra widać było nawet przez lichej materiał wytartej tuniki, opatrzonej pieczęcią domu. Kiedy oparł głowę o inkrustowaną brudem ścianę i uniósł twarz do światła, jego włosy nabrały jasnokasztanowego połysku. Mimo że pracował przy najbrudniejszych posługach, był nieomal nieskazitelnie czysty.

- Ty! Lansor!

Zadrzał, jakby przeniknął go lodowaty wiatr, i otworzył oczy. Wydawały się nieproporcjonalnie wielkie w porównaniu z resztą wychudłej, kościstej twarzy, miały dziwny odcień, ani zielony, ani niebieski.

- Rusz się wreszcie z miejsca! Nie po to ci płacę górami kredytek, żebyś tu siedział i udawał, że to ty płacisz! - Salarkianin, którego groźna sylwetka całkowicie przesłoniła mu widok, mówił bezakcentowym, idiomatycznym kosmolektem, który wydobywał się dziwnie z żółtawych warg. Porośnięta futrem dłoń cisnęła w młodego człowieka szczotkę, szponiasty kciuk wskazał miejsce zastosowania tego

cuchnącego przedmiotu. Vye Lansor podźwignął się z trudem i wziął kij do rąk, ponuro zaciskając zęby.

Ktoś upuścił dzban z kardo i ciemnofioletowy płyn rozlał się po kamiennej posadzce w takiej ilości, że o jej doczyszczeniu nie było co marzyć. Zabrał się jednak do pracy, hałaśliwie trzaskając frędzlami szczotki, by zetrzeć tyle, ile się da. Zapach kardo w połączeniu z ogólną wonią pomieszczenia i przebywających w nim osób wzmógł jeszcze bardziej jego mdłości.

Pracował w takim otępieniu, że nie zauważył mężczyzny siedzącego samotnie w łoży, dopóki jego szczotka nie opryskała łydki jednej z pijących dziewcząt. Uderzyła go z całej siły w twarz i cisnęła jakieś przekleństwo w mowie Altar–Ishtar.

Cios rzucił go na otwartą kratę otaczającą łożę. Usiłując się podnieść, zobaczył znowu jakąś zbliżającą się do niego dłoń, a potem palce oplatające jego nadgarstek. Drgnął nerwowo i spróbował rozerwać uścisk, ale przekonał się, że jest więźniem.

I gdy spojrział w zdumieniu na swego dręczyciela, od razu dostrzegł jego odmienność. Gość miał na sobie strój pilota; jaśniejsze patki naszyte w miejscu, gdzie powinny być odznaki statku, wskazywały, że nie jest nigdzie zatrudniony. I chociaż tunika obcego była nędzna i brudna, a magnetyczne buty podzielowane i bardzo zniszczone, w niczym nie przypominał pozostałych gości bawiących się w „Roju Gwiazd”.

- Czy ten... czy on szuka kłopotów? - Przez tłum przeciskało się w ich stronę ogromne cielsko Vorm–mana, który był wyrocznią wewnętrznego prawa „Roju Gwiazd”. Vorm–man, pełen ufności w swą siłę, z którą nikt tutaj, z wyjątkiem ślepych, głuchych i pijanych do utraty zmysłów, nie odważył się spierać, wyciągnął w stronę Lansora obdarzoną łuskami i szponami, sześciopalcą dłoń. Chłopiec skulił się ze strachu.

- Żadnych kłopotów! - przemówił władcym głosem człowiek z łoży. Jego twarz, której ostre rysy zaledwie kilka sekund wcześniej znamionowały wielką inteligencję, złagodniała nagle, a głos zmętniał, gdy mówił: - Znalazłem dawnego kumpla. Nie chcę kłopotów, tylko napić się ze starym kumplem.

Jednakże uścisk ręki, którą pociągnął Vye’a do przodu, obrócił dookoła i usadził na ławie łoży, wcale nie był łagodny. Vorm–man przeniósł wzrok z gościa „Roju Gwiazd” na najlichszego z pracowników i uśmiechnął się szeroko, przysuwając obdarzoną kłami szczękę do twarzy Lansora.

- Jak pan chce się napić, ty nędzny szcurze, to będziesz pił!

Vye przytaknął gorliwie i zaraz przyłożył dłoń do ust, bojąc się, że żołądek znowu go zdradzi. Zalękniony obserwował odwracającego się Vorm–mana. Odetchnął dopiero wtedy, gdy szerokie, zielono–szare plecy zniknęły w czeluściach zadymionej sali.

- Tutaj... - Uścisk na nadgarstku zelżał, a palce włożyły w jego dłoń kufel. - Pij!

Próbował protestować, wiedząc, że to i tak bezcelowe, i oburącz przyłożył kufel do warg, smakując z tępą rozpaczą palący płyn. O dziwo, ciecz, zamiast na powrót wywołać mdłości, uspokoiła jego żołądek i rozjaśniła umysł, dzięki czemu udało mu się uwolnić od napięcia, którym przepełniły go godziny spędzone w „Roju Gwiazd”.

Opróżniwszy kufel do połowy, odważył się spojrzeć na siedzącego naprzeciwko niego mężczyznę. Tak, to nie był zwykły marynarz i wcale nie tak pijany, jak udawał przed Vorm–manem. Obserwował teraz kłębiący się tłum nieco roztargnionym wzrokiem, choć Vye był pewien, że rejestruje każdy jego ruch.

Dopił resztę płynu. Po raz pierwszy, odkąd dwa miesiące temu przybył do tego miejsca, czuł się jak prawdziwy człowiek. I na tyle zachował czujność, by wiedzieć, że płyn, który dopiero co przełknął, zawiera jakiś narkotyk. Tyle że teraz wcale go to nie obchodziło. Cokolwiek, co potrafiło w przeciągu kilku chwil wymazać cały ten wstyd, strach i mdlącą rozpacz, które rodził pobyt w „Roju Gwiazd”, było warte przełknięcia. Dlaczego ten człowiek go zanarkotyzował, pozostawało tajemnicą, ale z zadowoleniem oczekiwał na oświecenie.

Towarzysz Lansora raz jeszcze schwyił w żelazny uścisk kościste ramię młodego człowieka i wyszli razem z „Roju Gwiazd” w chłód ulicy. Dopiero gdy minęli cały kwartał, przewodnik Vye’a zatrzymał się, nie puszczając jednak swego więźnia.

- Na czterdzieści imion Dugora! - zaklął.

Lansor czekał, oddychając powietrzem wczesnego poranka. Wciąż czuł pewność siebie, uzyskaną dzięki narkotykowi. W tym momencie był pewien, że nic nie jest gorsze od tego życia, które zostawił za sobą. Zapragnął dowiedzieć się, czego może od niego chcieć dziwny gość „Roju Gwiazd”.

Mężczyzna nacisnął przycisk, wzywający taksówkę powietrzną i stali jeszcze chwilę czekając, aż kopter wyląduje na pokładnicy.

Z siedzenia pojazdu Vye zauważył, że kierują się do szacownej górnej

dzielnicy, położonej daleko od niepokojów, jakimi dźwięczał port wyrzutowy. Próbował odgadnąć powód lub cel ich lotu, choć i tak nie miało to żadnego znaczenia. Potem kopter wylądował.

Obcy skinieniem dłoni nakazał Lansorowi wejść w jakieś drzwi, potem przez krótki korytarz przeszli do prywatnego mieszkania. W środku Vye z ulgą usiadł na piankowym siedzeniu wystającym ze ściany i rozejrzał się dookoła. Mgliście przypominał sobie równie luksusowo urządzone pokoje, lecz to wspomnienie było tak niewyraźne, że nie był pewien, czy nie zrodziło się w jego wyobraźni. To dzięki wyobraźni bowiem udało się Vye'owi przetrwać najpierw nudną egzystencję w Państwowym Sierocińcu, a potem znaleźć, mu przez państwo pracę, którą zresztą stracił, ponieważ nie potrafił się przystosować do zmechanizowanego trybu życia operatora komputerowego. Wyobraźnia była kotwicą i jednocześnie ucieczką, kiedy tonął w głębinach portu kosmicznego, by wreszcie osiąść w „Roju Gwiazd”.

Przyciskał teraz obie dłonie do miękkiego siedzenia i wpatrywał się w wiszący na ścianie mały hologram, który przedstawiał miniaturową scenkę z życia na innej planecie: jakieś stworzenie porośnięte futrem w biało-czarne paski pełzło na brzuchu, podkradając się do długonogich i krótkoskrzydłych ptaków tworzących czerwone jak krew plamy na tle żółtych trzciny pod jasnofioletowym niebem. Vye delektował się tymi barwami, poczuciem wolności i cudów obcych planet, z którymi kojarzył mu się ten obraz.

- Jak się nazywasz?

Niespodziewane pytanie obcego sprowadziło go z powrotem nie tylko do tego pomieszczenia, lecz również do jego własnej, niejasnej sytuacji. Obliznął wargi, pewność siebie gdzieś zniknęła.

- Vye. Vye Lansor. S.C.C. 425061 - dodał jeszcze swój numer identyfikacyjny.

- Sierota na utrzymaniu państwa, tak? - Mężczyzna nacisnął guzik, by dostać kubek z jakimś orzeźwiającym płynem, po czym wolno wypił zawartość. Nie zamówił drugiego dla Vye'a. - Rodzice?

Lansor pokręcił głową.

- Zostałem tu przywieziony po epidemii Gorączki Pięciu Godzin. Nie prowadzili żadnych rejestrów, było nas zbyt wielu.

Mężczyzna wpatrywał się w niego ponad krawędzią kubka. W jego wzroku obecny był jakiś chłód, coś, co gasiło przyjemne uczucie, które Vye odczuwał zaledwie kilka chwil wcześniej. Mężczyzna odstawił naczynie, przeszedł na drugą

stronę pomieszczenia. Ujawszy podbródek Lansora, uniósł jego głowę w sposób, który wzbudził ponurą złość w młodszym mężczyźnie. Coś jednak podpowiadało mu, że, opór może tylko spowodować kłopoty.

- Najprawdopodobniej rasa terrańska, zapewne dopiero w drugim pokoleniu. - Mówił bardziej do siebie niż do Vye'a. Puścił podbródek chłopca, lecz nadal stał przed nim, mierząc go od stóp do głów. Lansor miał ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu, lecz zwalczył w sobie to uczucie; udało mu się nawet wytrzymać przez chwilę badawcze spojrzenie obcego.

- Nie, nie jesteś zwykłym wykolejencem. Miałem rację.

- Znowu spojrzał na Vye'a, lecz tym razem w jego wzroku pojawiło się coś w rodzaju niechętnego zainteresowania dla osoby chłopca, jakby dopiero teraz zorientował się, że tamten naprawdę żywi jakieś myśli i emocje. - Chcesz pracę? Lansor wpił palce w piankowe siedzenie.

- Pracę... Jaką pracę?

Był zły i zawstydzony z powodu zdradliwego załamania w głosie.

- Masz jakieś skrupuły?

Obcy wyglądał na rozbawionego. Vye poczerwieniał, gdy zorientował się, że mężczyzna w zniszczonym uniformie kosmicznym tak łatwo zinterpretował jego wahanie. Człowiek, którego zabrano z „Roju Gwiazd”, nie powinien wypytywać o szczegóły takich propozycji. Sam nawet nie wiedział, dlaczego go to interesuje.

- Nic nielegalnego, zapewniam cię. - Mężczyzna odstawił kubek do pustej szczeliny. - Jestem Poszukiwaczem Ścieżek.

Lansor zamrugnął. Cała ta sprawa spowita była w fantastyczną, jakby oniryczną aurę. Mężczyzna przypatrywał mu się ze zniecierpliwieniem, wyraźnie oczekując jakiejś reakcji.

- Mogę ci pokazać moje listy uwierzytelniające, jeśli chcesz.

- Wierzę ci - wreszcie wydobył z siebie głos Vye.

- Tak się składa, że potrzebuję chłopca do noszenia sprzętu. To nie może być prawda! Przecież coś takiego nie mogło się przydarzyć jemu, Vye'owi Lansorowi, sierocie wychowanemu przez państwo, najpośledniejszemu posługaczowi z „Roju Gwiazd”. Takie rzeczy się nie zdarzają, chyba że podczas transu thalinowego, ale on przecież nie zażywał tego narkotyku! To sen, z którego człowiek nie chce się budzić, szczególnie jeśli życie cisnęło go na samo dno piekła, jakim jest port.

- Chcesz się zaciągnąć?

Vye desperacko usiłował zachować kontakt z rzeczywistością, nie tracić przytomności umysłu. Pomocnik Poszukiwacza Ścieżek! Ilu ludzi zapłaciłoby ogromne pieniądze za szansę zdobycia takiego stanowiska! Zwykły posługacz z portowej knajpy po prostu nie mógł zostać pomocnikiem łowcy z Gildii. Obcy jakby czytał w jego myślach.

- Posłuchaj - przemówił nagle. - Sam przeżyłem ciężkie chwile, wiele lat temu. Przypominasz mi kogoś, komu Jestem coś dłużny. Nie mogę mu zapłacić, ale w ten sposób mogę choć w niewielkim stopniu wyrównać szale.

Wyrównać szale... Słabnące nadzieje Vye'a rozkwitły ponownie. A zatem Poszukiwacz Ścieżek jest wyznawcą Rytu Losu. To wszystko wyjaśnia. Człowiek, który nie może odpłacić dobrego uczynku, musi znaleźć inny sposób na wyrównanie Wiecznych Szal. Znowu się odprężył, znalazłszy wreszcie odpowiedź na tyle pytań, których nie odważył się zadać na głos.

- Zgadzasz się?

Vye przytaknął skwapliwie.

- Tak, Poszukiwaczu Ścieżek.

Nadal nie wierzył, że to wszystko dzieje się naprawdę. Łowca nacisnął guzik i tym razem wręczył kubek z parującym płynem Lansorowi.

- Napij się z okazji zawarcia umowy.

W jego słowach pobrzmiwał rozkaz.

Lansor przełknął zawartość kubka i nagle poczuł, że jest zmęczony. Zamknąwszy oczy, oparł się o ścianę. Ras Hume wyjął kubek z bezwładnych palców młodego człowieka. Jak dotąd wszystko szło dobrze. Szczęście wydawało się zasiadać po jego stronie planszy. Ciągle to samo szczęście, które trzy dni temu, kiedy szukał swojego sobowtóra, skierowało go do „Roju Gwiazd”. Vye Lansor był lepszy, niż mógł sobie zamarzyć. Miał właściwą barwę skóry, a los obszedł się z nim wystarczająco niełaskawie, by teraz podlegał łatwym manipulacjom. A kiedy popracują nad nim technicy Wassa, stanie się Rynchem Brudie - spadkobiercą jednej trzeciej majątku Kogan-Bors-Wazalitz!

- Chodź!

Dotknął ramienia Vye'a. Chłopiec otworzył oczy, ale kiedy powoli wstawał, jego spojrzenie pozostawało nieostre. Hume

zerknął na swój zegarek wskazujący czas planetarny. Nadal było bardzo wcześnie; szansa, że uda mu się niepostrzeżenie wyprowadzić Lansora z tego

budynku, zmniejszy się, jeśli nie wyjdą natychmiast. Lekko ścisnąwszy młodszego mężczyznę za łokieć, wyprowadził go z powrotem na platformę, na której czekała już na nich powietrzna taksówka. Uczucie, że jest hazardzistą, któremu sprzyja szczęście, wzbierało na sile, gdy wprowadzał chłopca do koptera, wystukiwał na konsoli cel lotu i startował.

Na następnej ulicy przeniósł się wraz ze swym pasażerem do drugiego pojazdu i wystukał adres podany mu przez Wassę. Nieco później wprowadził Vye'a do niewielkiego hallu, w którym wisiała niepozorna tablica ze spisem lokatorów. Hume zauważył, że obok kolorowych napisów nie podano żadnych profesji. To oznaczało, że właściciele mieszkań należą do tak ekskluzywnych środowisk, że samo nazwisko nieodwołalnie kojarzy się z wykonywanym zawodem lub usługą, albo że są to tylko kryptonimy - być może zresztą jedno i drugie. Wassa obracał się w najrozmaitszych kręgach, wśród ludzi najdziwniejszych profesji, zapewniających wygody, rozrywki albo zdrowie próżniaczym bogaczom, międzyplanetarnej szlachcie i elicie przestępczej.

Hume dotknął palcami właściwego guzika, wiedząc, że wzór kciuka, który odcisnął na stole konferencyjnym Wassę, został już; tutaj naniesiony w celu umożliwienia mu wstępu. Pod nazwiskiem zamrugało światełko, ściana po prawej stronie załśniła i po chwili ukazały się w tym miejscu drzwi. Puściwszy przodem Vye'a, Hume skinął głową czekającej tam postaci. Płaskotwarzy Eukorianin z kasty służących wyciągnął rękę, by przeprowadzić Lansora przez próg.

- Zabieram go, szlachetny panie.

Jego głos był równie pozbawiony wyrazu jak twarz. Ściana ponownie załśniła i drzwi zniknęły.

Hume potarł dłonią zewnętrzną stronę uda, otartego przez szorstką tkaninę uniformu. Wyszedł z hallu; niewesołe myśli płaczące mu się po głowie wywoływały na twarzy nieprzyjemny grymas.

Głupiec! Posługacz z najgorszej szcurzej nory w porcie. Przecież ten chłopak mógłby nie przeżyć najbliższego roku, bo jakiś pijak z blasterem przerobiłby mu mózg na owsiankę, a ciało usmażył jak frytkę. To była prawdziwa uprzejmość danie mu szansy na przyszłość, o jakiej zaledwie jeden człowiek na milion mógł kiedykolwiek marzyć. Gdyby Vye Lansor wiedział, co się z nim stanie, tak by się rwał do tego zadania, że sam by tu pewnie przywłókł Hume'a. Nie ma powodu litować się nad tym chłopcem, nigdy dotąd tak mu się nie wiodło - nigdy! Życie Vye'a będzie

zagrożone bardzo krótko, tylko przez te dni, które spędzi samotnie na Jumali, od chwili, kiedy pozostawi go tam organizacja Wassa, do nadejścia grupy Hume'a, która go „wyratuje”. Sam Hume zapewni wszelkie środki, które go wspomogą w tym okresie. Rynch Brodie przejdzie szkolenie, niezbędne do przetrwania w dziczy, uzupełnione o całą wiedzę Poszukiwacza Ścieżek Gildii i wszelkie informacje zebrane na tej planecie przez zwiadowców. Hume kroczył ulicą znacznie pewniejszym krokiem, a w myślach sporządzał już listę najważniejszych działań.

3

Z początku był świadom tylko tępego bólu przepełniającego czaszkę. Kiedy obrócił głowę, wciąż nie otwierając oczu, poczuł, że jego policzek ociera się o coś miękkiego, a w nozdrzach zawiercił go jakiś szczypiący zapach.

Otworzył oczy i zapatrzył się na bezchmurne, niebiesko-zielone niebo ponad krawędzią ułamanej skały, informacje dostarczone przez zmysły otworzyły jakby furtkę w głębi jego umysłu.

To oczywiste! Usiłował wywabić żuchwacza z jego nory za pomocą przynęty na haczyku, ale omsknęła mu się stopa. Rynch Brodie usiadł, naprężył nagie, szczupłe ramiona i na próbę poruszył swymi długimi nogami. Na szczęście niczego sobie nie połamał. Ale nadal się krzywił. Dziwne - tamten sen, który zupełnie nie pasował do jego obecnej sytuacji.

Dopełznął do brzegu potoku, zanurzył głowę i ramiona w wodzie, pozwalając, by chłód strumienia spłukał choć część oszołomienia, w które popadł po przebudzeniu. Otrząsnął krople, które osiadły na jego odkrytym torsie i ramionach, a potem odszukał swój sprzęt myśliwski.

Stał przez chwilę, obmacując palcami wszystkie elementy swego skąpego ekwipunku i wspominając, ile ciężkiego znoju kosztowało go zdobycie każdego mieszka, pasa czy skrawka tkaniny. Nadal jednak czuł się jakoś dziwnie, jakby te rzeczy wcale do niego nie należały.

Rynch potrząsnął głową i otarł ramieniem mokrą twarz. Z całą pewnością to wszystko należało do niego, każda rzecz. Miał szczęście, podręcznik przetrwania z kapsuły powiedział mu w zarysie, jak powinien postępować, a ten świat nie okazał się wcale taki nieprzyjazny - o ile było się przygotowanym na trudności.

Wspiął się wyżej, zluzował sieć, zwijając jej fałdy w jednej dłoni, drugą chwycił włócznię. W oddali zaszeleścił jakiś krzak. targany lekkimi podmuchami wiatru. Rynch zastygł w miejscu, potem uchwycił drzewce włóczni drugą dłonią, sieć osunęła się na ziemię. Wtem odgłos szumiącej wody przerwało natarczywe warczenie.

Szkarłatna plama, która skoczyła mu do gardła, zaplątała się w sieć. Rynch dwukrotnie uderzył zwierzę włócznią, pozbawiając je równowagi. Kot wodny z tegorocznego miotu. Zdychał, ryjąc niezwykle długimi pazurami głębokie bruzdy w

ziemi i piasku. Jego ślepia, prawie tego samego odcienia, co futro porastające długie tułów, spojrzęły na niego z przedśmiertną wrogością.

Rynch patrzył, na nowo owładnięty uczuciem, że obserwuje coś dziwnego, całkowicie mu obcego. A przecież polował na koty wodne od wielu sezonów. Na szczęście stworzenia te wiodły samotniczy tryb życia, w ramach oznaczonych terytoriów, broniąc ich przed innymi przedstawicielami swego gatunku, i dlatego podczas swoich wędrówek stosunkowo rzadko je spotykał.

Zatrzymał się, by wyplatać sieć ze sztywniejących już łap. Miał dotrzeć do jakiegoś określonego miejsca. Nagły impuls nakazujący mu iść do przodu przekształcił tępy ból, nadal dręczący jego skronie, w uporczywe pulsowanie. Zsunął się w dół na czworakach, raz jeszcze podszedł do strumienia; opryskał twarz i napił się wody ze stulonych dłoni.

Chwiał się, przykładając mokre dłonie do oczu i wbijał palce w skronie, by złagodzić ból eksplodujący we wnętrzu czaszki. Siedzi w jakimś pomieszczeniu, pije coś z kubka... cień obrazu nałożył się na realność otaczającej go sytuacji,, na strumień, skały i zarośla. Siedział w jakimś pomieszczeniu, pił coś z kubka - to było ważne!

Ostry, palący ból sprawił, że wizja zniknęła. Spojrzał w dół. Pod żwirem i kamieniami zbierała się armia niebiesko-czarnych stworzeń o twardych skorupach. Wszystkie kierowały się w stronę martwego kota, rozcapierzając szponiaste odnóża i naprężając niebieskie czułki, osadzone na mięsistych pręcikach.

Rynch zerwał się do biegu i wskoczył do rzeki. Gdy woda sięgała mu już do kolan, wyrwał z rany na łydce dwa jadowite insekty. Kolumna ich towarzyszy niczym czarna jezior lizała już bok rudego zwierzęcia. Za kilka chwil z padliny zostaną tylko idealnie oczyszczone kości.

Rynch podniósł włócznię i sieć, najpierw zanurzył je w wodzie, by zmyć insekty, potem pośpiesznie przeszedł na drugi brzeg potoku, pozostawiając krwawe widowisko za sobą. Jakiś czas później przepłoszył czteronożne stworzenie kryjące się między kamieniami i zabił je jednym ciosem włóczni. Obdarł zdobycz ze skóry, czując pod palcami jej fakturę. Nadzwyczaj szorstka, może to szczątkowe łuski? Zagadka zaczynała dręczyć go na nowo.

Kiedy pogrążony w bolesnej zadumie piekł w ognisku suche, szarawe mięso, nabite na zaostrzony kij, czuł, że jakaś część jego umysłu bardzo dobrze wie, jakie zwierzę zabił. Lecz gdzieś w głębi krył się ktoś inny, ktoś, kogo nie znał, stojący na

uboczu i przypatrujący się wszystkiemu ze zdumieniem.

Nazywa się Rynch Brodie. Razem z matką odbywał podróż statkiem typu Largo Drift.

Pamięć automatycznie podsunęła mu obraz szczupłej kobiety, jej wąską, raczej nieszczęśliwą twarz, skręt skomplikowanej fryzury ozdobionej drogimi kamieniami. Stało się coś złego - wspomnienie nie było już dokładne, lecz chaotyczne. A kiedy próbował je odtworzyć dokładniej, zaczynała boleć go głowa. Potem kapsuła ratunkowa i jakiś towarzyszący mu mężczyzna...

- Simmons Tair!

Śmiertelnie ranny oficer. Umarł zaraz po wylądowaniu kapsuły ratunkowej na tej planecie. Rynch wyraźnie pamiętał, jak układał stos kamieni na wykręconym ciele Taita. Został wtedy zupełnie sam, tylko z podręcznikiem przetrwania i pewną ilością zapasów z kapsuły. Najważniejsze było nigdy nie zapomnieć, że jest Rynchem Brodie.

Zlizzał tłuszcz z palców. Od bólu w głowie zrobił się senny. Zwinął się na wygrzanym przez słońce piasku i zasnął.

Czy na pewno? Znowu otworzył oczy. Niebo ponad nim przestało już być misą pełną światła, stanowiło jakby milczącą aureolę wieczoru. Usiadł, a serce waliło mu tak szybko, jakby chciało się ścigać z coraz to silniejszym wiatrem, napierającym na jego skąpo okryte ciało.

Co on tutaj robi? Co znaczy „tutaj”?

Panika towarzysząca przebudzeniu wysuszyła mu usta, utwardziła skórę, zwilżyła wnętrza dłoni wbite boleśnie w piasek. W strumień myśli wdarł się mały wyraźny obraz - siedział w jakimś pomieszczeniu i patrzył na mężczyznę podchodzącego do niego z kubkiem. A przedtem przebywał w jakimś miejscu, przepelnionym smrodem i oślepiającym światłem.

Był jednak Rynchem Brodie, przybył tu w kapsule ratunkowej jeszcze jako mały chłopiec, pogrzebał oficera ze statku pod stertą kamieni, a samemu udało mu się przeżyć, ponieważ nauczył się, jak to robić z podręcznika znalezionej w łodzi. Tego ranka polował na żuchwacza, wywabiając go z kryjówki za pomocą haka, liny i przynęty ze świeżo złowionej ryby latającej.

Czołgał się z twarzą ukrytą w dłoniach. To wszystko jest prawdą, może to udowodnić - udowodni to! Tam jest nora żuchwacza, gdzieś na tym wzniesieniu, na którym zostawił włócznię, złamaną podczas upadku. Jeżeli uda mu się znaleźć norę,

wówczas upewni się co do realności całej reszty.

Dopiero co miał bardzo rzeczywisty sen - ha! Tylko dlaczego stale mu się śni pokój, człowiek i kubek, a także miejsce pełne świateł i smrodów, którego nienawidził tak bardzo, że ta nienawiść przywołała kwaśny posmak w jego wyschniętych ustach? Nic z tego nigdy nie należało do świata Ryncha Brodiego.

O zmierzchu zaczął zawracać korytem rzeki w stronę wąskiej, małej doliny, w której obudził się po upadku. Znalazłszy wreszcie schronienie w środku jakiegoś krzaka, przykucnął i nasłuchiwał odgłosów tego drugiego świata, który budził się nocą, przejmując panowanie nad planetą.

Brnął z powrotem, zwalczając panikę, ponieważ pojął, że część tych odgłosów jest w stanie bez trudu zidentyfikować, lecz inne pozostają tajemnicą. Gryził kłykcie zaciśniętych pięści, starając się znaleźć wytłumaczenie dla tego odkrycia. Skąd wiedział od razu, że cichy, niesamowity lament wydaje stworzenie obdarzone skórzastymi skrzydłami, żyjące wśród gałęzi drzew, natomiast źródło chrapliwego pochrząkiwania, dobiegającego znad rzeki, było mu zupełnie obce?

- Rynch Brodie, largo drift, Tait...

Poczuł zapach krwi płynącej z ręki, którą skaleczył własnymi zębami, kiedy recytował tę formułę. I nagle poderwał się na równe nogi. W pośpiechu zaplątał się w sieć, upadł i rozbił sobie głowę o wystający korzeń.

W kryjówce w krzaku nie dopadło go nic namacalnego. Jednakże to, co istotnie odważyło się wyjść z ukrycia, nie było substancją, dla której jego gatunek miał nazwę. Nie ciało, nie umysł - być może coś zbliżonego do obcej emocji.

Nawiązywało kontakt ukradkiem, choć bez żadnych obaw, przeprowadzało badania na swój własny sposób. Po chwili wycofało się, by złożyć sprawozdanie. A ponieważ to, przed czym składało raport, działało z wzorcem nie zmienianym od stuleci, jego jedyną odpowiedzią było potwierdzenie wstępnej komendy. Kontakt został nawiązany ponownie, coś bezowocnie dążyło do wykonania rozkazu. Tam, gdzie winno było znaleźć łatwe przejście, czysty kanał, którym mogłoby wnikać do umysłu śpiącego, znalazło beład wrażeń, tak ze sobą splecionych, że ostatecznie funkcjonujących jako bariera ochronna.

Intruz długo usiłował znaleźć jakiś wzór albo centralne znaczenie, lecz zbity z tropu wycofał się w końcu. Jednakże jego wtargnięcie, równie upiorne jak on sam, połuźniło istniejący tam węzeł, oczyściło przejście.

Rynch budził się o świcie, powoli, ze zdumieniem, porządkując dźwięki,

zapachy i myśli. Był tam pokój, mężczyzna, kłopot i strach, a potem on sam, Rynch Brodie, od dawna mieszkający w dziczy tego granicznego świata, dla którego nie opracowano jeszcze żadnych map. Ten świat otaczał go teraz, czuł wiejące po nim wichry, chłonał jego dźwięki, smaki, zapach. To nie sen - tamto jest snem. Nie może być inaczej!

Udowodnić to. Znaleźć kapsułę ratunkową, znaleźć szlak, który wczoraj zawiódł go do miejsca upadku, od którego to wszystko się zaczęło. Właśnie tam jest to zbocze, z którego się sturlał. Na jego szczycie znajdzie norę, do której prawdopodobnie zaglądał w chwili, gdy nastąpił wypadek.

Tylko że... nie potrafi jej znaleźć. Jego umysł utworzył szczegółowy obraz okrągłej jamy, na dnie której dostrzegł zuchwacza. Kiedy jednak dotarł do zwieńczenia urwiska, nigdzie nie znalazł kopca ziemi wyrzuconej poza brzeg nory. Szukał starannie, kierując się na północ i południe. Ani śladu nory. A przecież pamięć podpowiadała mu, że wczoraj była tu nora.

Czy on spadł z jakiegoś innego wzniesienia, a potem, oszołomiony, zatoczył się i spadał dalej?

Jakiś kłótny głos w jego wnętrzu powiedział mu, że tak nie było. Tam właśnie wczoraj odzyskał przytomność, ale tam przecież nie ma żadnej nory!

Odwrócił wzrok od rzeki, głęboko wciągnął powietrze. Żadnej nory - czyżby nie było też żadnej kapsuły ratunkowej? Jeżeli spadł tutaj z innego zbocza, to przecież musiał zostawić ślady. Znalazł zmiażdżoną pod jakimś ciężarem, zbrązowiałą roślinę. Pochylił się, by dotknąć zwiędłych liści. Coś szło w tym kierunku. Będzie się cofał po śladach. Zaczął uważnie patrzeć pod nogi.

Pół godziny później nie znalazł nic prócz jakichś dziwnych, nieomal niewidocznych śladów w giętkiej trawie. Na ich podstawie niczego nie potrafił wywnioskować.

Wiedział, gdzie jest, choć nie wiedział, jak się tu dostał. Kapsuła ratunkowa - jeśli rzeczywiście istniała - wylądowała na zachód od miejsca, w którym się znajdował. W jego myślach wykrystalizował się wyraźny obraz raketowego kształtu, srebrzystych niegdyś boków, zmatowiałych pod działaniem atmosfery, zaklinowanych między drzewami. Odszuka ją!

Pod poziomem świadomości podlegającej podmiotowej kontroli znowu coś się poruszyło. Znowu próbowano nawiązać z nim kontakt, testowano go. Niewidoczny las nawoływał łagodnie swoim obcym zaśpiewem. Ryncha zalały wizje drzew,

odległe pragnienie dostrzeżenia tego, co spoczywa w ich cieniu. Na razie miał inny problem. To, co go przywoływało, zostało pokonane, odepchnięte jego obojętnością. I kiedy Rynch rozpoczął swą wędrówkę na wschód, bardzo daleko od tego miejsca wszedł w drugą fazę proces stanowiący rodzaj transmisji informacji. Przesłano rozkaz uaktywniający impulsy.

Krażący wysoko ponad planetą Hume obrócił tarczę, wywołując na ekranach obraz szerokich pasm kontynentów i plamek niewielkich mórz. Wylądują na zachodzie. Klimat, cechy topograficzne i powierzchnia tamtych terenów sprzyjały ich celom. Poza tym kierował się podanymi mu przez władze Gildii współrzędnymi miejsca, w którym mieli rozbić swój obóz.

- Oto Jumala.

Nawet nie spojrzął za siebie, by sprawdzić, jakie wrażenie wywarł ten widok na pozostałych czterech uczestnikach wyprawy. Za wszelką cenę starał się zachowywać normalnie, nie chcąc obudzić podejrzeń, które mogłyby zniweczyć cały plan. Wass na pewno maczał ręce w doborze klientów, co nie znaczyło, że można im było zaufać. Ich rola polegała na ubezpieczeniu całego przedsięwzięcia.

Sam Wass zagwarantował sobie lojalność Hume'a, każąc mu zatrudnić swojego człowieka w charakterze pomocnika. Poszukiwacz Ścieżek nie miał o to do niego pretensji, bowiem doceniał w swoim kontrahencie sprawność, z jaką ten zabezpieczał się przeciwko wszelkim ewentualnym zagrożeniom, które mogły stanąć na drodze realizacji ich wspólnych planów.

Świt oświetlił już najwyższe szczyty zachodniego kontynentu. Mieli wylądować w odległości jednego dnia drogi od porzuconej kapsuły ratunkowej. Pierwsza wyprawa ruszy właśnie w tym kierunku. Nie należało dążyć bezpośrednio w stronę wraka, ale istnieje wszakże wiele sposobów kierowania trasą safari.

Dwa dni wcześniej, w myśl ustaleń planu, porzucono na tym obszarze półprzytomnego rozbitka. Wiązało się z tym pewne ryzyko, ponieważ uzbrojono go tylko w zwykłą ręczną broń, ale przecież całe to przedsięwzięcie było ryzykowne.

Wylądowali - dokładnie w wyznaczonym miejscu. Hume pilnował wylądunku oraz rozruchu maszyn i urządzeń, które miały chronić jego klientów i służyć im. Przykręcił zawór przy ostatnim nadmuchiwanym namiocie i przypatrywał się krytycznie, jak niewielki zwój tkaniny zmienia się w szczelny, jednokomorowy, klimatyzowany i ogrzewany schron.

- Wszystko gotowe i czeka, aż się wprowadzisz, szlachetny panie -
poinformował małego człowieczka, który stał i przypatrywał mu się wzrokiem
dziecka, zafascynowanego wszystkim, co nowe i niezwykle.

- Bardzo pomysłowe, łowco. Ach, a cóż to takiego?

W jego głosie brzmiało podniecenie, a palcem wskazywał na wschód.

Zaalarmowany tym okrzykiem Hume podniósł głowę. Istniała niewielka szansa, że „Brodie” mógł być świadkiem lądowania i być może idzie teraz w ich stronę. Takie spotkanie z rozradowanym rozbitkiem mogło im zaoszczędzić mnóstwo czasu i zachodu.

We wskazanym kierunku nie dostrzegł jednak nic takiego, co zasługiwałoby na jakąkolwiek uwagę. Odległe góry tworzyły surowe, granatowe tło. Ich podnóża i niższe zbocza gęsto porastały drzewa o liściach tak ciemnych, jakby pochłonęły całą czerń okolicy. A na równinie jaśniejszą, niebieskawą zielenią rozpościerał się las, złożony z drzew innego gatunku, otaczając otwarty teren nad rzeką. Gdzieś tam była kapsuła ratunkowa.

- Nic nie widzę! - rzucił tak ostrym tonem, że mały człowieczek spojrzał na niego z nie skrywanym zdziwieniem. Hume zmusił się do przelotnego uśmiechu.

- Co żeś tam zobaczył, szlachetny panie Starns? W lesie nie ma grubej zwierzyny.

- To nie było zwierzę, łowco. Raczej błysk światła, mniej więcej tam. - Ponownie wskazał kierunek.

Promień słońca - pomyślał Hume. Mógł się odbić od jakiejś metalowej części kapsuły ratunkowej. Uważał, że tak małego statku kosmicznego, całkowicie osłoniętego pnączami i drzewami, nie da się wypatrzeć. Niemniej jednak burza mogła go pozbawić częściowo naturalnego maskowania. Skoro Starns tak bardzo pragnie zaspokoić swoją ciekawość, to czemu nie? On może zostać odkrywcą.

- Dziwne. - Hume wyciągnął lornetkę. - Gdzie to dokładnie było, szlachetny panie?

- Tam. - Starns posłusznie wskazał po raz trzeci. Jeżeli rzeczywiście coś tam było, to zdążyło już zniknąć.

Jednakże kierunek był właściwy. Przez chwilę Hume poczuł się niepewnie. Wszystko wydawało się toczyć aż za dobrze i to właśnie zrodziło w nim nieufność.

- Może to promień słońca - zauważył.

- Myślisz, że odbił się od jakiegoś przedmiotu, łowco?

Ale ten błysk był bardzo jasny. A tam przecież nie może być żadnej lustrzanej powierzchni, nieprawdaż?

Tak, wszystko działo się zbyt szybko. Hume musiał bardzo uważać, by żaden z amatorów safari nie dowiedział się za wcześnie o kapsule ratunkowej z largo drift. Kiedy ją wreszcie znajdą i odkryją istnienie Brodiego, prawnicy podniosą raban. Tożsamość rozbitka zostanie zakwestionowana przez kilku dalekich i niezbyt przepadających za nim krewnych. Odbędzie się intensywne śledztwo. Ci ludzie muszą być bezstronnymi świadkami.

- Nie, nie uwierzę w lustro w nie zamieszkanym lesie, szlachetny panie - zaśmiał się. - Jednakże jesteśmy na planecie myśliwskiej i nie wszystkie występujące na niej formy życia zostały już sklasyfikowane.

- Czy masz na myśli jakąś rasę inteligentnych tubylców, łowco?

Podszedł do nich Chambriss, najbardziej wymagający członek grupy. Hume potrząsnął głową.

- Na światach myśliwskich nie ma inteligentnych tubylców, szlachetny panie. To się sprawdza, zanim planeta zostaje wciągnięta na listę nadających się do safari. Jednakże mogą tu żyć ptaki albo jakieś inne latające stworzenia, obdarzone metalicznym upierzeniem lub łuskami, w których przelądają się promienie słońca. To było właśnie coś takiego.

- Ten blask był zbyt silny - odparł Starns z wątpliwością w głosie.

- Sprawdzimy to później.

- Nonsens! - wykrzyknął Chambriss, wyraźnie nawykły do dominacji we wszelkich dyskusjach. - Przybyłem tu po kota wodnego i będę miał kota wodnego. On nie żyje w lasach.

- Wszystko odbędzie się zgodnie z planem - obwieścił Hume. - Każdy z was podpisał kontrakt na inne trofeum. Ty na kota wodnego, szlachetny panie Chambriss. A ty, szlachetny panie Starns, chcesz mieć hologram smoka sztolniowego. Natomiast Yactisi życzyłyby sobie polować z elektrycznym harpunem na głębokich wodach. Każdego dnia będziemy szukać na przemian czego innego, tak będzie najbardziej sprawiedliwie. I kto wie, może któryś z was znajdzie wybraną przez siebie zwierzynę w pobliżu stanowiska drugiego.

- Masz całkowitą rację, łowco - zgodził się Starns. - A ponieważ dwaj moi towarzysze chcieliby zapolować na stworzenia wodne, to może powinniśmy zacząć od rzeki.

Minęły dwa dni, zanim weszli do lasu. Hume czuł, że coś w nim protestuje, lecz bardziej ostrożna część jego umysłu uspokoiła się. Widział, ponad głowami

trzech klientów, wywracających i sortujących zawartość swych toreb, człowieka Wassa, obserwującego na przemian to ścianę lasu, to Starnsa. A będąc człowiekiem niezwykle czujnym, bez wątpienia zastanawiał się, ile tak naprawdę dostrzegł Starns.

Obóz rozbitý nie opodal statku składał się z siedmiu baniastych namiotów. Członkowie tej ekspedycji, co było dosyć rzadką postawą wśród klientów Gildii, nie traktowali Hume'a jako chłopca na posyłki; wszyscy trzej solidarnie dbali o uzupełnienie zapasów, nie uważali ponadto, że prace pomocnicze w obozowisku wiązałyby się z ujmą na honorze. Człowiek Wassa poszedł w tym czasie nad rzekę i po jakimś czasie wrócił z kilkunastoma srebrnymi płetwaczami, oczyszczonymi i nabitymi na trzcinę, gotowymi do upieczenia nad kuchenką. Ognisko nocą nie było potrzebne, lecz stanowiło niezbędny, romantyczny element myśliwskiej wyprawy. Klienci Gildii potrafili docenić takie szczegóły. Hume pochylał się do przodu, podsycając płomień, a Starns przysunął bliżej kilka kłód wyłowionych z rzeki.

- Powiedziałeś, łowco, że na myśliwskich światach nie występują inteligentne rasy. Skąd jednak można być tego pewnym, nie przebadawszy uprzednio dokładnie całej planety?

Mówił obojętnym tonem, ale cel tych pytań był oczywisty.

- Dzięki pomocy weryfikatora. - Hume przysiadł na skrzyżowanych nogach, kładąc plasta-dłoń na kolanie. - Pięćdziesiąt lat temu musielibyśmy prowadzić tu długie obserwacje, chcąc się upewnić, że ten świat jest nie zamieszkaany. Teraz instalujemy weryfikatory w odpowiednich punktach kontrolnych. Inteligencja oznacza jakąś działalność umysłową i daje się ją zarejestrować za pomocą weryfikatora.

- Zdumiewające! - Starns wyciągnął swe pulchne dłonie w stronę ogniska, pradawnym gestem człowieka, którego płonące drewno przyciąga nie tylko swym ciepłem, lecz również obietnicą ochrony przed mocami ciemności. - Nieważne, ilu ich jest albo jak rozproszeni są tacy myślący tubylcy, bo wszyscy bez wyjątku zostają zarejestrowani?

Hume wzruszył ramionami.

- Może jeden lub dwóch - uśmiechnął się szeroko - przedostałoby się przez takie sito. Dotąd jednak nie odkryliśmy planety, na której inteligentne życie byłoby tak nieliczne.

Stojący blisko ogniska Yactisi bawił się, podrzucając pusty kubek.

- Zgadzaam się, że jest to istotnie interesujące. - Był szczupłym mężczyzną, o rzadkich, jasnych włosach i ciemnej cerze, co było prawdopodobnie efektem

przemieszania kilku ludzkich ras. Oczy miał lekko wpadnięte, więc trudno było w tym świetle odczytać ich wyraz. Hume zdążył już stwierdzić, że jest bystrym obserwatorem, obdarzonym nieprzeciętną inteligencją, co w rezultacie mogło się okazać pomocne lub wręcz przeciwnie - groźne. - Nie zdarzały się żadne błędy?

- Nic o tym nie wiem - odparł Hume.

Całe jego życie zależało od maszyn, nadzorowanych naturalnie przez kompetentnych ludzi, wyszkolonych w ich odpowiednim wykorzystywaniu. Znał proces działania weryfikatora, widział, jak pracuje. W Kwaterze Gildii nie było żadnych zapisów o jego ewentualnej nieskuteczności; pragnął wierzyć, że jest niezawodny.

- A jakaś rasa mieszkająca w morzu. Czy można być pewnym, że maszyna wykryje jej obecność? - dociekał dalej Starns.

Hume roześmiał się.

- Na Jumali nic takiego nie mogło się rozwinąć, możesz być tego pewien. Morza tutaj są małe i płytkie. Taka rasa, nie wykryta przez weryfikator, musiałaby żyć na dużych głębokościach i nigdy nie wychodzić na ląd. Zatem nie musimy obawiać się niespodzianek. Gildia nie ryzykuje.

- O czym zresztą zawsze zapewnia - dodał Yactisi. - Robi się późno. Życzę przyjemnych snów.

Wstał, by pójść do swojego namiotu.

- Rzeczywiście! - Starns zamrugnął i podniósł się niezdarnie. - Tak więc jutro polujemy nad rzeką?

- Na kota wodnego - potwierdził Hume.

Uznał, że z całej trójki Chambriss jest najbardziej niecierpliwy. Powinien jak najszybciej upolować swoje trofeum. Był pilot domyślał się, że ten klient nie pomoże im w poszukiwaniach, jeżeli jego oczekiwania nie zostaną wcześniej zaspokojone.

Rovald, człowiek Wassera, stał milcząc przy ognisku, dopóki wszyscy trzej klienci nie rozeszli się do namiotów.

- Jutro rzeka? - spytał.

- Tak. Nie możemy ich ponaglać.

- Zgoda. - W obecności klientów Rovald był znacznie bardziej wymowny. - Tylko nie opóźniaj sprawy. Przypominam, że gdzieś tutaj błąka się nasz chłopiec. Jeszcze coś go pożre, zanim te łamagi go znajdą.

- Przecież wiedzieliśmy, że narażamy się na takie ryzyko. Nie można wzbudzać podejrzeń. Ani Yactisi, ani Starns nie są głupcami. Chambriss chce tylko dostać swego kota, ale może zrobić się niegrzeczny, jeśli ktoś będzie próbował nim manipulować,

- Zbyt długie czekanie może nas narazić na kłopoty. Wass nie lubi kłopotów.

Hume obrócił się dookoła. Jego rysy, oświetlone łuną ogniska, były ściągnięte, usta ponure.

- Ja też nie, Rovald, ja też nie! - powiedział spokojnie, ale za jego słowami kryła się lodowata obietnica.

Rovald nie dał się nastraszyć. Uśmiechnął się szeroko.

- Stul swoje skrzydła, zdobywco przestworzy. Potrzebujesz Wassa. a ja jestem tutaj, by pilnować jego interesów. Chodzi o dużą stawkę, jakiegokolwiek straty są niedopuszczalne!

- Nie będzie żadnych, przynajmniej nie z mojej winy.

Hume podszedł do filara, na boku którego jarzyła się ciemnoczerwona, ognista linia. Nacisnął guzik kontrolny i linia zapłonęła jaskrawo. W tym momencie namioty i statek kosmiczny zostały otoczone polem siłowym. Taki był rutynowy sposób zabezpieczania obozów safari na obcych światach, troska o bezpieczeństwo była obowiązkiem Hume'a.

Stał dłuższą chwilę, patrząc na daleki las, odgradzony niewidzialną barierą. Noc była ciemna, gwiazdy skryły się za chmurami przygnanymi przez wiatr, co wróżyło, że rankiem spadnie deszcz. Nie była to odpowiednia pora na dodatkowe martwienie się niepewną pogodą.

Gdzieś tam błąkał się Brodie. Hume miał nadzieję, że chłopiec dotarł już do „obozu”, który tak starannie dla niego zbudowano. Kapsuła ratunkowa i osłonięta kamieniami „pustelnia”, pełna spreparowanych śladów kilkuletniego zamieszkiwania, zostały skonstruowane z dbałością o najmniejszy szczegół, choć zapewne oszukanie uczestników safari mogło być dokonane. znacznie mniejszym kosztem. Jednakże niebawem, kiedy historia ich znaleziska stanie się głośna, na scenie pojawią się inni ludzie, specjaliści od kosmicznych katastrof. Hume liczył jednak, że przeszkolenie, które odebrał w Gildii, a także talenty renegackich techników Wassa zapewnią im pomyślne przejście wszelkich możliwych testów.

Co widział Starns? Odbicie słońca w dyszy kapsuły ratunkowej, sterczącej teraz pionowo w górę? Hume wolnym krokiem szedł w kierunku ogniska, kiedy

zauważył, że Rovald wchodzi po rampie do statku. Uśmiechnął się. Czy Wass uważa go za głupca, który się nie domyśli, że Rovald będzie w kontakcie ze swoim pracodawcą? Człowiek VIP-a zamierzał zdać raport przez jakiś kanał tajnego imperium, że wylądowali i że gra zaraz się zacznie. Hume zastanawiał się niezobowiązująco, jak daleko i przez ile transponderów ta wiadomość będzie wędrować, zanim osiągnie swoje przeznaczenie.

Przeciągnął się i ziewnął; postanowił, że czas już się położyć. Jutro muszą znaleźć kota wodnego dla Chambrissa. Hume zepchnął myśli o Brodiem na dalszy plan, koncentrując się na rozlicznych metodach polowania na dzikie zwierzęta z obcych planet.

Światła w namiotach gasły kolejno. Zamknięci we wnętrzu bariery pola siłowego ludzie pogrążyli się we śnie. Przed północą zaczął padać deszcz, spływając po bokach namiotów i mocząc popioły ogniska.

Z ciemności wypełzło to, co nie było ani myślą, ani substancją, bowiem było radykalnie obce dla przybyszów z innych światów. Jednakże bariera, zaprojektowana tak, by wykrywała wszelkie biegające, fruujące lub pełzające stworzenia, okazała się lepszym zabezpieczeniem, niżli sądzili jej twórcy. Nie doszło do przerwania obwodu - jedna siła daremnie zmagła się z drugą. Po jakimś czasie sonda wycofała się, nie zauważona. Niemniej jednak owo stworzenie, nie obdarzone inteligencją, przynajmniej w myśl tych kryteriów, którymi ludzie określają inteligencję, było wyposażone w zdolności umożliwiające mu poznanie parametrów sztucznej bariery. Pole siłowe zostało zbadane, jego cechy przetrawione. Pierwsze podejście nie powiodło się. Przygotowywano drugie - właściwie już było gotowe, choć upłynęło zaledwie kilka miesięcy, odkąd pierwsi przybysze zbudzili ze snu pradawnego strażnika pilnującego Jumali.

W głębi ciemnych lasów porastających górskie stoki coś się poruszało. Rozliczne stworzenia skomlały przez sen, protestowały podświadomie przeciwko rozkazom, których nigdy nie potrafiły pojąć, a które mogły tylko wykonać. Z nadejściem świtu armia ustawi się w szyku bojowym, przypuści nowy atak - nie tylko na obóz, lecz także na wszelkie jego zabezpieczenia. I na chłopca, śpiącego teraz w płytkiej jamie, utworzonej przez rozwidlone korzenie drzewa, które się złamało podczas lądowania kapsuły ratunkowej.

Szczęście znowu uśmiechnęło się do Hume'a: o świcie deszcz przestał padać. Choć niebo było zachmurzone, dzień zapowiadał się pogodny. Spieniony, rwący nurt

rzeki ułatwi Chambrissowi polowanie. Koty wodne lubiły wygrzebywać sobie nory w brzegach, wznosząca się woda przepędzała je teraz z ich siedlisk. Z pewnością zostawią wyraźne ślady na piaszczystym podłożu. Wyruszyli całą grupą. Hume prowadził, Chambriss dreptał żwawo tuż za nim, Rovald zamykał pochód zgodnie z przyjętą techniką poruszania się szlakiem. Chambriss niósł pistolet strzałkowy, Starns miał tylko ochronny głuszak, a na szyi powiesił sobie przestarzały aparat holograficzny. Choć Hume ostrzegał, że rwący po nocnej burzy nurt mógł uniemożliwić polowanie na głębokiej wodzie, Yactisi trzymał pod pachą elektryczny harpun, a jego biodra opinał pas z aparaturą wspomagającą.

Już w niewielkiej odległości od obozowiska znaleźli świeży ślad szerokich łap kota wodnego. Zwierzę musiało być gdzieś niedaleko. Hume zmierzył dłonią odległości między wgłębieniami.

- Duża sztuka! - wykrzyknął Chambriss z zadowoleniem. - Odchodzi od rzeki.

To spostrzeżenie lekko zastanowiło Hume'a. Przy wysokiej wodzie rude koty mogą opuszczać swoje jamki, ale od rzeki oddalają się niechętnie. Przykucnął na piętach i uważnie zbadał wzrokiem przestrzeń dzielącą ich od dalekiego lasu.

Mimo późnej pory roku trawa wciąż rosła, lecz nie była dostatecznie wysoka, by ukryć zwierzę, które zostawiło tak wielkie ślady. Kot mógł się zaszyć w pobliskich zaroślach i tam czekać na dogodną chwilę do ataku - ale dlaczego? Nie zranili go, nie przestraszyli, nie miał powodu, by zasadzać się na nich w ukryciu.

Yactisi i stale majstrujący przy swoim aparacie Starns zostali w tyle. Rovald dogonił ich. Na znak dany przez Hume'a zdjął z ramienia swój promiennik. Nie należało ufać zwierzęciu, które postępowało wbrew swym normalnym obyczajom.

Hume wyprostował się i przeszedł po linii śladów. Były świeże - nieomal ciepłe. I wiodły prostą linią do lasu. Kolejne machnięcie ręki zatrzymało Chambrissa. Zdyscyplinowany klient, pomimo zapału, nakazującego mu stale przeć do przodu, usłuchał. Hume porzucił ślad i zawrócił, by zbadać kępy zarośli. Pusto. A jeżeli pójdą tropem kota, mogą się natknąć na kapsułę ratunkową!

Postanowił zaryzykować. Kiedy znaleźli się w odległości zaledwie kilku jardów od pasa drzew, gestem dłoni dał Chambrissowi znak, by strzelił w stronę chwiejącego się krzewu.

Okazało się jednak, że bezkształtne, ledwo widoczne stworzenie, prawie nie odróżniające się barwą od reszty roślinności, wcale nie jest kotem wodnym. Usłyszeli cichy, urywany skowyt, a zaraz potem tupot łap.

- Co to było, w imię dziewięciu bogów? - zażądał wyjaśnienia Chambriss.

- Nie wiem. - Hume ruszył do przodu i wyszarpnął strzałkę z pnia drzewa. -

Tylko już więcej nie strzelaj, chyba że jesteś pewien, iż dobrze wycelowaleś!

Wilgoć po nocnych opadach okryła liście drzew i skapywała wielkimi kroplami na spocone ciało Ryncha. Leżał na szerokiej gałęzi, starając się opanować ciężką zadyszkę, której nabawił się podczas biegu. Wciąż słyszał echo okrzyków zaskoczonych ludzi, którzy brnęli z wysiłkiem przez las w stronę białej pionowo w ziemię kapsuły ratunkowej.

Nie potrafił pojąć, co go skłoniło do ucieczki. Byli członkami jego własnej rasy, mogli go zabrać z tego samotnego świata. Ale tamten wysoki mężczyzna - ten, który prowadził grupę w stronę polany, na której wylądowała kapsuła...

Rynch zadrżał i wbił paznokcie w korę. Widok tego człowieka spowodował konflikt pomiędzy otaczającą go rzeczywistością a dręczącymi wizjami. Paniczna ucieczka była jedyną rzeczą, jaka przyszła mu do głowy. To był mężczyzna ze snu - mężczyzna z kubkiem!

Kiedy serce przestało już bić jak oszalałe, zaczął myśleć bardziej logicznie. Po pierwsze, nie udało mu się znaleźć nory zuchwacza. Potem te ślady na zboczu, z którego spadł, i kapsuła na polanie, dokładnie zgodna z obrazem, jaki podsuwały mu wspomnienia. Niedaleko statku odkrył jednak coś jeszcze - obozowisko z szałasem, skonstruowanym z łupków i pnączy, zawierające rzeczy, które mógł zgromadzić tylko rozbitek.

Rynch wiedział, że ten człowiek go znajdzie, ale zmęczenie nie pozwalało mu dalej uciekać.

Nie, rozwiązanie całej zagadki wiąże się z tym człowiekiem. Jeżeli wróci na polanę, to zaryzykuje, że go schwytają - ale przecież musi uzyskać wyjaśnienie. Rynch rozejrzał się z uwagą po swym obecnym otoczeniu. W głębokim błocie pod drzewami zostaną ślady. Może istnieje jakiś inny sposób poruszania się? Obejrzał konary sąsiedniego drzewa.

Napowietrzna wędrówka szła mu niezbyt sprawnie, stale się pocił, zamierając w bezruchu, gdy przepłaszał zamieszkujące korony drzew stworki. Idący za nim ludzie podeszli już niezwykle blisko do miejsca, w którym znajdowała się kapsuła.

Nagle zobaczył w górze ponad sobą zarys jakiegoś ogromnego cielska; strach spowodował, że przywarł kurczowo do pnia drzewa. Mimo że stwór był zwinięty w kłębek. Rynch czuł, iż jest nieomal tak samo duży jak on. a widok groźnych pazurów

ostrzegał, że to przeciwnik, którego nie należy lekceważyć. Ponieważ wyraźnie nie miał zamiaru go atakować, do Ryncha powoli dotarło, że zwierzę znajduje się w takiej sytuacji jak on. Szuka kryjówki.

Nie odrywając wzroku od bezkształtnego cielska, młody mężczyzna zaczął się wycofywać, czujny na każde drgnienie. Ponieważ nic się nie stało, szybko ześlizgnął się w dół. Stał pod drzewem, bacznie nasłuchując dźwięków dobiegających z góry. Był już bardzo blisko obozu rozbitka.

W pobliżu szałasów czaiło się drugie zwierzę, takie samo jak to pierwsze, ukryte na drzewie! Różniło się tylko tym, że jego sierść nie miała barwy liści. Stało na czterech łapach, uginając przednie w stawach kolanowych, a całą sylwetką przypominało człowieka - z tą różnicą, że ciało człowieka nie jest porośnięte gęstym futrem. Jego głowa, wciągnięta między ramiona, jakby osadzona na zbyt krótkiej szyi, miała kształt gruszki, wydłużonym końcem skierowanej w tył, z organami wzroku i wężu wciśniętymi w zaokrągloną część twarzy, tuż nad linią szerokich ust przecinających tępy pysk. W ciemnych szczelinach oczu nie było widać źrenic, tęczywek i rogówek. Nos stanowiła idealnie zaokrąglona rurka, stercząca na długość cała. Obce i przerażające, a zarazem groteskowe stworzenie nie wykonało żadnego wrogiego ruchu. A ponieważ nie odwróciło głowy, nie mógł być pewien, czy w ogóle go widzi. Wiedziało jednak, że on tu jest, był o tym przeświadczony. I czekało... na co? Powoli mijały długie sekundy. Rynch zaczynał już wierzyć, że stwór nie czeka na niego. Podniesiony na duchu, wspiał się po pnączu na najbliższe drzewo.

Kilka minut później odkrył, że bestii jest znacznie więcej, niż tylko dwie, zaczajone przy obozowisku, i że szereg wartowników rozciąga się aż do polany, na której spoczywała kapsuła. Wycofał się w głąb lasu, mając zamiar znaleźć okrężną drogę prowadzącą na otwarty teren. Bardzo teraz pragnął przyłączyć się do przedstawicieli swojej rasy, choćby to nawet byli jego potencjalni wrogowie.

Mijał czas, a bestie otaczały obozowisko coraz ściślej kręgiem. Zapadał już wieczór, gdy dotarł do oddalonego o kilka mil miejsca nad rzeką. Odkąd wyszedł na otwartą przestrzeń, nie napotkał żadnego z tych koszmarnych obserwatorów. Miał nadzieję, że nie będą mieli ochoty wyjść poza osłonę drzew.

Nad rzeką położył się płasko na ziemi i wczuł na szczycie zbocza. Tam, ukryty bezpiecznie za gęstym krzakiem, zaczął obserwować rozciągający się przed nim teren. Zobaczył duży statek kosmiczny, a nie opodal rampę lądowniczą i grupę baniastych namiotów. Na samym środku płonęło ognisko, wokół którego kręcili się

ludzie.

Teraz, kiedy zostawił za sobą las i obserwatorów, i był tak blisko celu, z niewiadomego powodu nie miał ochoty na żadne działanie. Nie chciał wychodzić ze swej kryjówki. Coś odpychało go od tych ludzi.

Mężczyzna, którego szukał, stał przy ogniu i zakładał właśnie na siebie rodzaj upręży podtrzymującej niewielką skrzynkę. Potem zawiesił jeszcze na ramieniu pistolet strzałkowy. Sądząc po ożywionych gestach, pozostali spierali się z nim o coś, ale on tylko potrząsnął głową i ruszył przed siebie, szybko stając się cieniem, skradającym się wśród innych cieni. Jeden z jego towarzyszy poszedł w ślad za nim, ale kiedy dotarli do filaru, wbitego w ziemię w niewielkiej odległości od namiotów, zatrzymał się, pozwalając temu pierwszemu odejść samotnie w ciemność,

Rynch ukrył się za krzakiem. Mężczyzna najwyraźniej szedł w stronę rzeki. Czy to możliwe, że dowiedzieli się o jego obecności i teraz go szukają? Sądząc po przygotowaniach, które poczynił wysoki mężczyzna, najpewniej po prostu wyszedł na patrol. Obserwatorzy! Czy ten człowiek miał zamiar ich śledzić? Pomysł wydawał się sensowny. Tymczasem pozwolił temu drugiemu iść za sobą tak długo, aż odejdą wystarczająco daleko od obozu i pozostałych. Wtedy się gdzieś potajemnie spotkają!

Rynch zacisnął pięści. Musi sprawdzić, co jest prawdą, a co snem w jego oszalałym, pomieszanym umyśle! Ten człowiek to wie i może powiedzieć mu prawdę!

Mimo że Rynch bardzo się starał, obcy wkrótce roztopił się w mglistej płataninie cieni. Potem jednak usłyszał cichy plusk wody. Mężczyzna z obozowiska szedł środkiem strumienia. Choć starał się podążać za nim bardzo ostrożnie, omal nie zdradził swej obecności, kiedy obchodził kępę krzaków wrastających częściowo do strumienia. Z cichego szmeru wywnioskował, że mężczyzna usiadł na zanurzonej w wodzie pniu drzewa.

Czyżby czekał na niego? Rynch zamarł w pół kroku, tak zaskoczony, że przez sekundę nie potrafił myśleć jasno. Potem dostrzegł sylwetkę obcego, otoczoną jaskrawą poświatą. Wokół mężczyzny gromadziły się gęsto mikroskopijne cząsteczki światła, promieniując zielono-niebieską barwą. Siedzący machnął ramieniem, łuna zawirowała i rozdzieliła się na pojedyncze iskierki wielkości łebków od szpilki.

Rynch spojrział na własne ciało - te same iskierki unosiły się także wokół niego, otaczając jego ręce, uda, pierś. Wszedł głębiej w zarośla, ale iskierki wciąż fruwały, choć już nie w takiej ilości, by zdradzić jego obecność. Patrzył, jak unoszą

się nad zaroślami, przy kłodzie, na której siedział mężczyzna, wokół kamieni i sitowia. Przy obcym zgromadziło się ich najwięcej, jakby jego ciało było namagnesowane. Mężczyzna nadal próbował się od nich opędzić; w ich świetle Rynch zauważył, jak palcami dłoni manipuluje na panelu zawieszonym na szyi skrzynki.

Na moment palce znieruchomiały. Rynch uniósł głowę, usłyszawszy jakiś daleki dźwięk. Krzyk którejś z bestii?

Palce ponownie zawirowały na tablicy. Czyżby nadawał wiadomość? Rynch obserwował, jak sprawdza uprząż i sprzęt zawieszony u pasa, chowa pistolet strzałkowy pod pachą. Po chwili odszedł od strumienia, kierując się w stronę lasu.

Rynch zerwał się na nogi, w ostatniej chwili tłumiąc ostrzegawczy okrzyk. Starając się iść jak najciszej, ruszył śladem obcego. Ma mnóstwo czasu, zanim mężczyzna dotrze do miejsca, w którym trzeba go będzie ostrzec przed ewentualnym niebezpieczeństwem, czającym się za drzewami.

Tamten jednakże zachował czujność, jakby się spodziewał tego, co może na niego czyhać w tych ciemnościach. Skręcił na północ i unikając kęp potarganych krzaków trzymał się otwartej przestrzeni. Rynch nie mógł iść tuż za nim.

Ich trasa, biegnąca równoległe do lasu, wiodła do drugiej rzeki, do której wpadała ta pierwsza. Tutaj mężczyzna przysiadł na chwilę między dwoma kamieniami. Zupełnie nie dbał o ukrycie swej obecności.

Rynch szczęśliwie znalazł dogodny miejsce, z którego mógł go obserwować nie zauważony. Światne punkciki skupiły się w jednym miejscu i wisiały teraz w postaci jasnego obłoku nad skałami. Rynch wycofał się pod osłonę krzaka, którego aromatyczne liście musiały wydzielać jakąś odstraszącą aurę, ponieważ iskierek nie zbierały się w tym miejscu.

Otepiały ze zmęczenia, chłopiec zasnął, a kiedy się obudził, oszołomiony i zdezorientowany, był już dzień. Coś było nie tak. Zamiast czterech brudnych ścian widział wokół siebie niebiesko-zieloną kopułę.

Szybko jednak przypomniał sobie wszystko. Wstał więc i zszedł ze zbocza, zły, że pozwolił sobie na głupią słabość. Znalazł ślady mężczyzny. Nie zawracały, czego się początkowo obawiał. Wyraźnie odcisnięte w wilgotnej ziemi, wiodły teraz na wschód. Co było celem jego wyprawy? Czy może te ślady zostawił po to, by służyły za wskazówki pozostałym ludziom z obozu?

Nie mógł iść otwarcie brzegiem rzeki, byłoby to prowokowanie losu. Przyjrzał

się uważnie drugiemu brzegowi. Porastały go kępy niskich drzew i wysokich krzaków, stanowiących idealną osłonę.

Skrył się prawie cały w zaroślach, gdy nagle usłyszał chrapliwy warkot samicy kota wodnego. Atakowała jakiegoś wroga, przenikliwie miauczając z wściekłości. Rynch zaczął biec zygzakami, od jednej kępy krzaków do drugiej. Gdy dotarł do brzegu rzeki, nienawistne warczenie nagle zamarło.

Celem ataku kocicy i jej młodych był mężczyzna z obozu. Na żwirze leżały trzy zakrwawione ciała, płaskie i nieruchome. Człowiek stał oparty o skałę i ciężko dyszał. Po chwili pochylił się, by podnieść upuszczony pistolet, odbiegł od skały w stronę rzeki i wpadł w kolejną pułapkę, którą zgotowała mu Jumala.

Zanim zdecydował, gdzie ma postawić stopę, zsunął się ze śliskiej powierzchni i upadł, prosto w potrzask nory żuchwacza. Z okrzykiem zdziwienia mężczyzna wypuścił pistolet z rąk i rozpaczliwie wpił palce w ziemię. Pograżał się jednak stale; najpierw zapadł się po kolana, potem do połowy uda. Wsysał go ruchomy piasek pułapki. Nie stracił jednak głowy i szarpał się zdecydowanie, usiłując wyswobodzić.

Rynch wstał i wolnym krokiem ruszył w stronę brzegu rzeki. Więzień obrócił się, szukając jakiegoś większego i cięższego kamienia, którego mógłby się uchwycić. Na widok Ryncha nawet nie krzyknął, tylko wytrzeszczył oczy i otworzył usta w niemym zdziwieniu.

Skrzynka wisząca na jego piersi zaczepiła o kamień, którego rozpaczliwie uchwycił się. Gdy nastąpiła eksplozja iskier, obcy zaczął gwałtownie manipulować przy sprzączce oplatającej go uprzęży. Skrzynka upadła na ciało jednego z kotów i eksplodowała raz jeszcze, osmalając jego sierść.

Rynch przypatrywał się temu z obojętnością, a po chwili zastanowienia wyrwał pistolet z rąk uwięzionego. Mężczyzna patrzył na niego z kamienną twarzą, nawet wtedy, gdy Rynch wycelował broń.

- Zdaje się - usłyszał zgrzyt własnego głosu Rynch - że wreszcie możemy pogadać.

Mężczyzna skinął głową.

- Jak sobie życzysz, Brodie.

6

- Brodie? - Rynch przykucnął na piętach.

Szare oczy, niezwykle jasne na tle ogorzałej twarzy, zwęziły się odrobinę, co Rynch odnotował z poczuciem wewnętrznego triumfu.

- Szukałeś mnie? - spytał.

- Tak.

- Dlaczego?

- Znaleźliśmy kapsułę, więc zaczęliśmy szukać ewentualnych rozbitków.

Rynch powoli pokręcił głową.

- Przecież wiedzieliście, że tu jestem. To wy mnie tu sprowadziliście! - wyjawiał swe podejrzenia jednym prostym stwierdzeniem.

Tym razem mężczyzna nie dal po sobie nic poznać.

- Widzisz! - Rynch pochylił się do przodu, nadal jednak pozostając poza zasięgiem uwięzionego. - Pamiętam!

W oczach mężczyzny coś zamigotało, ale nadal rozmawiał spokojnym tonem.

- Co pamiętasz, Brodie?

- Wystarczająco dużo, by wiedzieć, że nie nazywam się Brodie, że nie leciałem w tej kapsule, że nie zbudowałem tego obozowiska.

Pogładził dłonią trzon pistoletu. Nie miał już żadnych wątpliwości, że gra, do której go wciągnięto, jest niebezpieczna, mimo że jeszcze nie poznał jej reguł i celu.

- Tym razem nie masz żadnego kubka.

- Rzeczywiście pamiętasz. - Mężczyzna nadal przyjmował wszystko spokojnie. - W porządku. Nie musisz od razu psuć nam planów. Nie masz do czego wracać na Nahuatl, chyba że podobało ci się w „Roju”. - W jego głosie lodowato pobrzmiwała pogarda. - Odegranie naszych ról przyniesie korzyść również tobie.

Urwał i wbił w niego zimne spojrzenie.

Nahuatl. Rynch uczeplił się tego słowa. Był w Nahuatl... a może na Nahuatl? Co to jest? Planeta? Miasto? Gdyby zdołał wmówić temu człowiekowi, że pamięta wszystko wyraźnie, a nie tylko kilka urywanych wspomnień...

- Najpierw mnie tu zostawiłeś, a teraz wracasz, żeby na mnie polować.

Dlaczego? Dlaczego Rynch Brodie jest taki ważny?

- Bo jest wart miliard kredytek! - Mężczyzna ze statku wychylił się z jamy,

rozkładając szeroko ręce, by nie dać się wessać jeszcze głębiej. - Miliard kredytek - powtórzył spokojnie. Rynch roześmiał się.

- Wymyśl coś lepszego, zdobywco przestworzy.

- Stawka musi być chyba dla nas wysoka, skoro postaraliśmy się o taką scenografię. Zostałeś uwarunkowany, Brodie, nielegalnie skanalizowano ci mózg!

Rynchowi te słowa nic nie mówiły. Jeśli kiedykolwiek było inaczej, to już o tym zapomniał, zagubiony w labiryncie wspomnień należących do przeszłości Brodiego. Wiedział jednak, że da swemu przeciwnikowi przewagę, jeśli zdradzi się ze swą niepewnością.

- Szukacie Brodiego, bo chcecie zdobyć miliard kredytek. Ale jeszcze go nie znaleźliście!

Ku jego zdziwieniu mężczyzna roześmiał się.

- Brodie się znajdzie, kiedy będzie potrzebny. Pomyśl o swoim udziale w miliardzie kredytek, chłopcze; dobrze się nad tym zastanów.

- Pomyślę.

- Wiesz, że samo myślenie nie wystarczy.

W głosie mężczyzny po raz pierwszy zabrzmiał ślad jakichś emocji.

- Twoim zdaniem ja was potrzebuję? Nie sądzę. Nie Jestem już pionkiem, którego ktoś przedstawia na planszy.

To stwierdzenie znowu przywołało krótkotrwały błysk zamazanego wspomnienia - zadymione pomieszczenie, w którym przy stołach tłoczyli się ludzie i przesuwali jakieś figurki na planszach. Było to jedno z jego własnych wspomnień, a nie spreparowana pamięć Brodiego.

Rynch wstał, ruszył w górę zbocza, lecz zanim dotarł na szczyt, obejrzał się. Rozbita skrzynka wciąż dymiła. Mężczyzna starał się wychylić jak najdalej, usiłując schwycić kamień, jego palcom brakowało zaledwie kilku cali. Miał szczęście, że nora była pusta. Po jakimś czasie uda mu się z niej wydostać. Rynch zaś wiedział, jak znaleźć sobie kryjówkę - nikt go nie znajdzie wbrew jego woli.

Maszerował przed siebie, usiłując złożyć w jedną całość swoje wspomnienia i skąpe informacje uzyskane od człowieka z Nahuatl. A więc „skanalizowano mu mózg”, wyposażono w zbiór fałszywych wspomnień, by zrobić z niego Ryncha Brodie, którego obecność na tym świecie warta była dla kogoś miliard kredytek. Nie sądził, by człowiek ze statku prowadził tę grę w pojedynkę, bo czy wszak nie użył słowa „my”?

Miliard kredytek! Ogromna kwota, niewiarygodnie ogromna, jak cała reszta tej historii.

W podbiciu stopy poczuł ukłucie palącego bólu. Krzyknął głośno i tupnął z całej siły nogą, miażdżąc kłusującego go insekta. W porę uskoczył w bok, unikając wejścia w kłęb robactwa, uwijającego się pracowicie przy jakiejś nierozpoznawalnej padlinie. Krzyknął z obrzydzenia, przypatrując się beładowi łuskowatych, segmentowatych ciał i ruchliwych odnóży

W pobliżu mężczyzny złapanego w pułapkę leżały ciała trzech kotów wodnych. Przynęta, która może naprowadzić żarłoczne insekty na trop więźnia. Rynch poczuł, jak kłębi mu się w wygłodniałym żołądku. Obrócił się i pobiegł trawiastym brzegiem rzeki, mając nadzieję, że nie jest jeszcze za późno.

Omam nie upadł i nie ześlizgnął się do wody, ale z ulgą zauważył, że mężczyzna zdołał przyciągnąć do siebie uprząż z dymiącą skrzynką. Cierpliwie rzucał ją teraz przed siebie, bezowocnie starając się zaczepić paski na najbliższym kamieniu.

Rynch dobiegł, złapał koniec uprzęży i wbił pięty w luźny żwir, ciągnąc z całej siły. Dzięki jego pomocy mężczyzna wypełzł w końcu z nory. Położył się, ciężko dysząc, lecz Rynch schwycił go za ramię i błyskawicznie odciągnął od ciała martwej kocicy. Był pewien, że zauważył już ruch przy zwłokach jej dziecka.

Mężczyzna wyprostował się i spojrział na Ryncha, który cofnął się i wymierzył do niego z pistoletu.

- Teraz kolej na moje pytania.

Jego spojrzenie powędrowało za linią wzroku Ryncha. Zwłoki najmniejszego kociaka skręcały się z boku na bok. Nie oznaczało to jednak, że jakimś cudem kot ożył: atakowały go padlinożerne insekty. W stronę drugiego kociaka już szarżowały następne kolumny.

- Dziękuję! - Obcy wstał na nogi. - Nazywam się Ras Hume. Zdaje się, że nie przedstawiłem się podczas naszego ostatniego spotkania.

- To niczego nie zmienia. Nie jestem waszym człowiekiem, nie nazywam się Brodie! Hume wzruszył ramionami.

- Przemyśl to wszystko, Brodie, przemyśl to starannie.

Chodź ze mną do obozu, to...

- Nie! - przerwał mu Rynch. - Ty pójdziesz swoją drogą, a ja swoją.

Mężczyzna znowu się zaśmiał.

- To nie jest takie proste, chłopcze. Zaczęliśmy coś, czego nie da się zatrzymać

tak łatwo, jak jakąś maszynę.

Zrobił krok w stronę Ryncha.

Młodszy mężczyzna podniósł pistolet strzałkowy.

- Stój tam, gdzie stoisz! Twoja gra, Hume? W porządku, rozgrywaj ją sobie, ale bez mojego udziału.

- A co masz zamiar robić, schować się w lesie?

- Co ja robię, to moja sprawa, Hume.

- Bynajmniej. Ostrzegam cię, chłopcze, z wdzięczności za twoją pomoc. -

Skinął głową w stronę jamy. - W tych lasach coś jest, coś, czego Gildia nie wykryła podczas swoich wcześniejszych badań.

- Obserwatorzy. - Rynch cofał się krok po kroku, cały czas trzymając pistolet gotów do strzału. - Widziałem ich.

- Widziałeś ich! - Hume ożywił się. - Jak oni wyglądają?

Pomimo pragnienia pozbycia się Hume'a, Rynch mimo woli opowiedział wszystko, bez trudu przypominając sobie dokładne szczegóły wyglądu zwierzęcia ukrytego na drzewie oraz tego, które czekało przy szałasie, a także tych, które otoczyły polanę.

- Nie są inteligentne. - Hume odwrócił głowę, by spojrzeć w stronę odległego lasu. - Weryfikator nie odnotował żadnych inteligentnych stworzeń.

- A więc przegapiliście obserwatorów?

- Nie. Nie podoba mi się też, co ty zobaczyłeś, Brodie. Dlatego proponuję rozejm. Gildia uznała Jumalę za nie zamieszkaną planetę, nasze sprawozdania to potwierdziły. Jeżeli okaże się, że jest inaczej, możemy znaleźć się w niezłych tarapatach. Jako Poszukiwacz Ścieżek jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo uczestników safari.

Słowa Hume'a brzmiały sensownie, choć Rynch nie chciał tego przyznać. Łowca musiał jednak dostrzec przyzwolenie w wyrazie jego twarzy, bo skinął głową i dodał pospiesznie:

- Najbezpieczniejszym miejscem jest w tej chwili obóz safari. Najlepiej chodźmy tam od razu.

Nie wiedział jednak, że ich czas się skończył. Usłyszeli donośny, jakby metaliczny dźwięk. Rynch obrócił się błyskawicznie wokół własnej osi, jednocześnie odbezpieczając pistolet. Od jednego z gałęzi oderwała się błyszcząca kula wielkości pięści i wylądowała w zagłębieniu w ziemi, które zostawił but Hume'a. W powietrzu

ekspłodował kolejny błysk i druga kula przeturlała się ze szczękiem po żwirze.

Wydawały się pojawiać znikąd. Rozsyłały tęczowe błyski, toczyły się półkolem wokół dwóch mężczyzn. Rynch pochylił się, lecz Hume złapał go palcami za nadgarstek i odciągnął od kuli.

- Nie dotykaj! - warknął Hume. - I nie przyglądaj się jej z bliska! Chodź tutaj! Popchnął Ryncha przez wyrwę w nie zamkniętym jeszcze kręgu kul.

Hume wyminął ostrożnie uczujące insekty i złapawszy Ryncha za rękę, poderwał go do biegu. Słyszeli za sobą trzaskanie i brzęk kolejnych kul. Rynch obejrzał się i dostrzegł, jak jedna z nich upadła w pobliżu ciała kota wodnego.

- Poczekaj chwilę!

Wyrwał się z uścisku Hume'a. Miał szansę zobaczyć, jaki wpływ będzie miała ta kryształowa kula na żywe organizmy.

Kryształ uległ zmianie: z żółtego stał się czerwony, jak te resztki futra, które jeszcze pozostały na błyskawicznie pożeranym ciele.

- Patrz!

Rozedrgany dywan, pokrywający martwego kota, przestał się ruszać, a w jego stronę toczyły się już następne dwie kule. Szponiaste stwory zawirowały gwałtownie, porzucając padlinę. Wylały się na ścieżkę i jęły gwałtownie pełznąć przed siebie. Za nimi, niczym pasterze zaganiający stado, sunęły trzy kule połyskujące na czerwono, a za nimi podążały następne.

Hume podniósł rękę. Stożkowaty czubek promiennika splunął lancą ognia, która trafiła w środkowy kryształ. Odbity od niego promień uderzył w insekty zbite w gęstą masę. Łuskowate ciała zaczęły się natychmiast skręcać, kurczyć i wreszcie spopielać, natomiast zupełnie niewzruszony kryształ toczył się dalej.

- Biegnij!

Hume popchnął Ryncha do przodu silnym ciosem, omal nie zwałając go z nóg. Obydwaj ponownie poderwali się do biegu.

- Czym... czym są te stworzenia? - spytał Rynch, gwałtownie dysząc.

- Nie wiem i nie podoba mi się ich wygląd. Jeżeli będziemy trzymać się rzeki, to nie dadzą nam dojść do obozu...

- Już nam zagroziły drogę.

Rynch dostrzegł w powietrzu błyszczącą smugę, wyznaczającą trajektorię lotu kuli, która upadła na skraju wody.

- Może starają się nas osaczyć, a to im się nie uda. Widzisz tę kłodę, która

utknęła między dwoma kamieniami? Wbiegnij na nią, a potem skacz do wody, one chyba nie potrafią pływać.

Rynch biegł dalej, nie wypuszczając z rąk pistoletu. Złapał równowagę na dryfującej kłodzie i zeskoczywszy z niej, zanurzając się po pas w brązowej wodzie. Hume dołączył do niego z ponurą twarzą.

- Spójrz tam...

Rynch spojrział we wskazanym kierunku. Jeden kształt... dwa... trzy... Obserwatorzy wyszli z lasu, odznaczając się wyraźnie tam, gdzie nie maskowały ich zarośla. Kroczyli równym szeregiem, prosto w stronę ludzi, okryci niebiesko-zielonymi futrami niczym mgłą chroniącą przed palącym słońcem. I choć ich sylwetki tchnęły jakby wewnętrznym spokojem, w marszu owi monstrualni mieszkańcy jumalańskiego lasu wyglądali jak żywe ucieleśnienie brutalnej siły.

- Wyośmy się stąd! Szybko!

Nie przestawali biec. Lecz przez cały czas kroczyła za nimi spokojna linia zielonego błękitu, odciągając ich od obozu safari, w stronę coraz to wyższych zboczy gór. Tak samo jak kule nie pozwoliły insektom dokończyć posiłku i kazały im uciekać, podobnie ludzie byli teraz gnani w niewiadomym kierunku.

Od pewnego momentu przestali widzieć i słyszeć kule. Kiedy dotarli do zakrętu rzeki, Hume zatrzymał się, obrócił i przypatrzył równemu szeregowi kroczących stworów.

- Możemy ich zlikwidować za pomocą strzałek albo promiennika. Łowca pokręcił głową.

- Nie zabijaj - wyrecytował credo Gildii - dopóki nie jesteś pewien. Oni postępują według jakiejś metody, a metoda oznacza inteligencję.

Gildia szkolili, jak traktować zwierzęta i rozumne istoty z obcych planet. Hume przeszedł takie szkolenie i mimo że tu, na Jumali, prowadził podstępą grę, Rynch uznał, że lepiej takie decyzje pozostawiać jemu.

Hume podał mu pistolet strzałkowy.

- Oślaniaj mnie, ale nie strzelaj, dopóki ci nie powiem. Zrozumiałeś?

Począł, aż Rynch skinie głową i zaraz ruszył zdecydowanym krokiem, tym samym tempem, z jakim szły bestie, przez mielizny w rzece, wprost na spotkanie z nimi. Zbliżający się szereg zatrzymał się jednak i stał w milczeniu. Hume podniósł rękę, pokazując wnętrza dłoni i przemówił powoli klekotliwym językiem, służącym do kontaktów z obcymi.

- Przyjacieli. - Tylko tyle Rynch potrafił wyróżnić z tego jednostajnego ciągu sylab. Rozumiał jednak, że Hume próbował nawiązać kontakt z niebieskimi bestiami. Szczeliny ciemnych oczu nie przestawały wpatrywać się tępo w przestrzeń, lekki wiatr mierzwił kosmyki futer porastających szerokie barki i długie muskularne odnóża. Nie poruszyła się ani jedna głowa, ani jedna z ciężkich, zaokrąglonych szczęk nie otworzyła się, by wygłosić cokolwiek w odpowiedzi. Hume przestał mówić. Zapadła groźna cisza, od niebieskich stworzeń promieniowała złowroga aura, pulsującym wzbudzonym oceanem.

Hume stał jeszcze krótką chwilę naprzeciwko obcych. Potem wrócił do Ryncha z twarzą ściągniętą niepokojem. Rynch podał mu pistolet.

- Czy będziemy walczyć?

- Za późno. Patrz!

W stronę rzeki nadciągały kolejne niebiesko-zielone oddziały, liczące tym razem nie pięciu czy sześciu napastników, lecz po kilkunastu, może nawet przeszło dwudziestu. Z opalonej twarzy łowcy ściekła cieniutka strużka wilgoci.

- Otoczyli nas, teraz możemy iść tylko prosto przed siebie.

- Powinniśmy walczyć! - zaprotestował Rynch.

- Nie. Idź dalej.

Po pewnym czasie Hume znalazł wreszcie dogodne miejsce do obrony - wysepkę na środku strumienia, pozbawioną roślinności i zwieńczoną ostrym wierchołkiem. Jej wysokie brzegi były pełne szczelin i zapadlin, co pozwalało mieć nadzieję, że w razie zacieklej walki nie zostaną zaatakowani od tyłu. Odkryli ją w ostatniej chwili, wśród wydłużających się już cieni późnego popołudnia.

Atak nie nastąpił, a bestie wciąż kontynuowały swój powolny marsz, najwyraźniej zamierzając zagnać obydwu mężczyzn w stronę położonych na północnym wschodzie gór. Trwało to tak długo i było tak beznamienne, że Rynch wyzbył się dokuczliwego uczucia paniki, choć wciąż pamiętał, że głupotą jest lekceważenie nieznanego.

Niczego nie uzgadniając, wspięli się na sam szczyt wysepki, a tam, półżywi ze zmęczenia, padli na skrawek płaskiej skały o powierzchni może czterech stóp. Hume odpiął lornetkę od pasa, ale nie obserwował szlaku, który zostawili za sobą, tylko ciągnący się przed nimi łańcuch górski.

Rynch kręcił się niespokojnie, przypatrywał rzece i jej brzegom. Stojące na brzegu lub przyczajone w trawie bestie wyglądały jak skamieniałe, niebiesko-zielone bryły.

- Nic nie widać.

Hume odjął lornetkę od oczu, ale nie przestał obserwować gór.

- A co chciałeś zobaczyć? - burknął Rynch. Był głodny, ale nie na tyle, by odważyć się na opuszczenie wysepki.

Hume zaśmiał się.

- Nie wiem, a jestem pewien, że one chcą nas właśnie tam zapędzić.

- Wymyśl coś wreszcie - zaatakował go Rynch. - Znasz tę planetę, byłeś już tutaj.

- Należałem do jednej z grup zwiadowczych, która uznała, że Gildia może przejąć Jumalę.

- A więc musieliście dokładnie przeczesać te tereny. Jak to się stało, że się o nich nie dowiedziałeś?

Wskazał ręką ich prześladowców.

- O to właśnie chętnie bym w tej chwili spytał paru ekspertów - odparł Hume. -

Weryfikatory nie zarejestrowały tu żadnej rasy inteligentnych tubylców.

- Żadnej inteligentnej rasy. - Rynch zamyślił się nad tym i znalazł oczywiste wyjaśnienie. - W porządku, w takim więc razie ktoś z zewnątrz musiał tu podrzucić naszych niebieskich przyjaciół. Przypuśćmy, że prowadzi tu własne interesy i chce się pozbyć nieproszonych gości?

Hume zamyślił się.

- Nie.

Nie wyjaśnił jednak, dlaczego zaprzecza. Usiadł, wyciągnął cylindryczny pojemnik z pętli przy pasie i wytrząsnął z niego cztery tabletki. Dwie wręczył Rynchowi, a pozostałe sam połknął.

- Vita-bloki, podtrzymują siły przez dwadzieścia cztery godziny.

Żelazne racje, które ratowały życie uczestnikom wielu wypraw, nie posiadały smaku prawdziwego pożywienia. Rynch połknął je jednak posłusznie, po czym w ślad za Hume'em zszedł na brzeg rzeki. Łowca nalał wody do zagłębienia w skale i dorzucił tam szczyptę proszku oczyszczającego.

- O zmroku może uda nam się przebić przez ten kordon - obwieścił.

- Wierzysz w to?

Hume roześmiał się.

- Nie, ale nie należy zapominać, że istnieje taki czynnik, jak zwykle szczęście. A poza tym nie mam ochoty ginąć w miejscu, które być może oni dla nas wybrali. - Zadarł głowę, by spojrzeć na niebo. - Będziemy na zmianę trzymali wartę. Nie należy niczego próbować, dopóki się nie ściemni, chyba że ruszą z miejsca. Bierzesz pierwszą wartę?

Kiedy Rynch skinął głową, Hume wpełzł do rozpadliny w skale, niczym ślimak chowający się do swej skorupy, i zasnął z taką łatwością, jakby potrafił przywołać sen samą siłą woli. Rynch przypatrywał mu się z ciekawością przez kilka sekund, po czym, zdeterminowany nie dać się zaskoczyć, zajął upatrzoną pozycję, z której mógł obserwować całą okolicę.

Pilnujące ich stworzenia skuliły się i teraz czekały z cierpliwością, która zrobiła na nim wrażenie już wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczył je w lesie. Nie ruszały się i nie wydawały żadnych dźwięków. Były tam po prostu - stały na straży. Rynch nie wierzył, by ciemność nocy mogła spowodować jakiegokolwiek osłabienie ich czujności.

Oparł się o skałę, czując szorstką powierzchnię pod nagimi plecami. W

zasięgu ręki położył najskuteczniejszą i najpotężniejszą broń, jaką znano na światach granicznych. Ze swego posterunku mógł cały czas obserwować wroga i myśleć.

To Hume go tu zostawił, wyposażonego w pamięć Ryncha Brodiego. Nagrodą za jego znalezienie był miliard kredytek. Za wiele pracy włożono w warunkowanie, by stawka mogła być mniejsza. Rynch Brodie znalazł się na Jumałi, a Hume przybył tu wraz ze świadkami, aby go odszukać. Część umysłu rozpromieniła się, uradowana precyzją rozumowania. Rynch Brodie miał zostać odkryty jako rozbitek na Jumałi. Tylko że sprawy nie potoczyły się zgodnie z planem Hume'a. Przede wszystkim miał on nie wiedzieć, że nie jest Rynchem Brodie. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, dlaczego proces warunkowania okazał się nieskuteczny, po chwili powrócił do problemu swej relacji z Hume'em.

Nie, Poszukiwacz Ścieżek spodziewał się dostać rozbitka odpowiadającego jego zamówieniu. Potem ta afera z obserwatorami - stworzeniami, których ludzie Gildii nie wykryli tu kilka miesięcy wcześniej... Rynch poczuł chłód w okolicy kręgosłupa. Gra Hume'a to była jedna rzecz, coś, co potrafił pojąć, ale te milczące bestie stanowiły jakościowo inne i z jakiegoś powodu znacznie bardziej niepokojące zagrożenie.

Rynch przesunął się ostrożnie do przodu, spoglądając na opary mgły wirujące tuż nad powierzchnią wody, a jego umysł usiłował rozwiązać tę drugą zagadkę tak samo trafnie, jak jego zdaniem znalazł wyjaśnienie dla swych pokawałkowanych wspomnień i faktu, że przebywa na Jumałi.

Gęsta mgła stanowiła dodatkowe zagrożenie, ponieważ pod jej osłoną bestie mogły podkraść się bliżej. Pistolet strzałkowy jest skuteczny, to prawda, ale można nim zabić tylko tego wroga, w którego można celować. Strzelanie strzałkami na chybił trafił spowoduje jedynie wyczerpanie magazynku bez żadnego wymiernego efektu.

A gdyby tak oni wykorzystali tę szarą mgłę i wymknęli się pod jej osłoną? Już miał iść i podsunąć ten pomysł Hume'owi. gdy spostrzegł, że na polu ich dziwacznej potyczki z obcymi coś się dzieje.

Wzdłuż nierównej linii zakola rzeki sunął rząd migoczących świateł. Rozkołysane, frunęły w stronę poszarpanego wybrzeża wysepki. Pojawiły się znikąd równie niespodziewanie jak tamte kule.

Kule i mrugające światełka na wodzie połączyły się w jego umyśle, sygnalizując nowe niebezpieczeństwo. Rynch wycelował starannie i strzelił w

światełko, które osiadło na ostrym czubku skały, w miejscu, gdzie dwie odnogi rzeki rozdzielonej przez wysepkę łączyły się na powrót w jedno koryto. Zauważył dopiero teraz, że punkty świetlne poruszają się niezgodnie z prądem - płynęły w górę strumienia, coś je musiało napędzać.

Strzelił, ale światełko nie zniknęło, a w ślad za nim pojawiły się dwa następne, tworząc teraz nieregularną grupę. Na wymytych przez wodę skałach coś się działo. Tak samo jak owady, które na lądzie uciekały przed kulami, tak teraz stworzenia wodne wychodziły z wody i wspinały się na brzeg wyspy. Światła tymczasem zmieniały barwę - z białej na czerwono-żółtą.

Rynch wcisnął dłoń w zagłębienie w skale i odszukał przygotowany wcześniej kamień. Cisnął go w stronę świateł. Wybuch jaskrawej czerwieni, jedno zniknęło. Jakieś stworzenie, przeskakujące ze skały na skałę, wydało miaukliwy okrzyk i fiknęło koziołka prosto do wody. Po chwili mgielna smuga wdarła się między Ryncha i światełka, sprawiając, że bijąca od nich płomienna łuna znacznie pobladła. Rynch zeskoczył ze skalnej półki i szarpnięciem wyrwał Hume'a ze snu.

Jak wszyscy ludzie, którzy często przebywają na pograniczu dzikich światów. Poszukiwacz Ścieżek natychmiast odzyskał pełną świadomość.

- Co się stało?

Rynch podał mu rękę. Mgła zgęstniała, ale na powierzchni wody pojawiło się więcej złowieszczych świateł. Rozpraszały się na boki, tworząc mur. Z wody wynurzały się jakieś ciemne kształty, które zaraz wskakiwały na brzeg wyspy i wspinały coraz wyżej, w stronę skalnej półki, na której stali ludzie.

- To znowu te kule, są chyba teraz w wodzie. - Rynch znalazł drugi kamień, wycelował starannie i rozbił następną kulę. - Pistolet na nie nie działa - doniósł. - Kamienie tak, ale nie wiem. dlaczego.

W poszukiwaniu amunicji przejrzeli dookoła wszystkie rozpadliny, znajdując sporo kamieni wielkości pięści, a tymczasem światełka były coraz bliżej, powoli zamykając krąg wokół wysepki. Nagle Hume krzyknął i wycelował promiennik w dół. Lanca wybuchu przeszła mrok niczym błyskawica.

Rozległ się przeraźliwy pisk i tuż pod nimi od zbocza oderwała się ciemna plama. Zdławił ich atak kaszlu, wywołany obrzydliwym pleśniowym smrodem, przemieszanym z zapachem palonego mięsa.

- Pająk wodny! - stwierdził Hume. - Jeżeli oni wyganiają je...

Zaczął czegoś szukać przy swoim pasie i po chwili cisnął w dół jakimś

przedmiotem, który wywołał strumień iskier. Iskry, które zetknęły się ze skałą lub ziemią, zmieniały się w wysokie i cienkie słupy ognia, rozświetlające koszmara rozgrywający się na kamieniach i skalnych zboczach wysepki.

Rynch wystrzelił strzałkę z pistoletu, a promiennik Hume'a nie przestawał błyskać. Starające się wdrapać jak najwyżej stworzenia popiskiwały, pochrząkiwały, niektóre ginęły bezgłośnie. Rynch nie bardzo wiedział, jakie to gatunki zwierząt. Jedno, obdarzone kleszczami jak padlinożerne insekty, było prawie wielkości kota wodnego. A futrzaste stworzenie, z nogami jak u człowieka i podwójną szczęką, miało pierścień fosforescencyjnych oczu, osadzonych w zamkniętym kręgu wokół głowy. Atakowało ich obce życie, wygnane z wody.

- Światła, celuj w światła! - rozkazał Hume.

Rynch pojął. To światła wypędzały z wody atakujące ich wyspę zwierzęta. Jeżeli uda się je zniszczyć, to kłębiąca się sfora prawdopodobnie powróci do swych siedzib. Upuścił pistolet, pozbiierał kamienie i zaczął nimi rzucać w światła.

Hume strzelał do pełznającej masy, przerywając ostrzała tylko raz, by odpalić jeden z płonących pocisków, i oświetlić scenę. Oszołomione, nieporadne w obcym środowisku, wodne stworzenia były zupełnie zdane na jego łaskę. Jednakże ich liczba, pomimo piętujących się stosów zwłok, wciąż stanowiła poważne zagrożenie.

Rynch siał spustoszenie w linii światła. Widział jednak, przez mgłę, coraz to więcej dryfujących iskier, zajmujących swoje pozycje, wypędzających z wody kolejne rzesze zwierząt. Z wyjątkiem paru wyrw, wysepka była całkowicie otoczona.

- Ach! - krzyknął głośno Hume ze wściekłością. Wycelował promień w miejsce tuż pod występem, na którym stali. Olbrzymia, podzielona na segmenty i obdarzona szponami noga, wypchnięta z całej siły, wylądowała tuż pod ich stopami, odbiła się, skręciła w powietrzu i zniknęła.

- Ruszaj! - rozkazał Hume. - Na górę!

Rynch nabrał kamieni w obydwie garście, przycisnął je do piersi lewą ręką, a drugą zamachnął się po raz ostatni, wzniecając tym jednak tylko niewielki kłęb pyłu. Potem obydwaj wspięli się na niewielki płaskowyż na szczycie wysepki. Dzięki strumieniom ognia, którymi strzelał łowca, widzieli, że większa część skalnych zboczy pod nimi aż roi się od natłoku fauny wodnej.

Tam, gdzie Hume trafił swoim promieniem, następowała gorączkowa szamotanina, ponieważ, pozostałe przy życiu stworzenia dopadały ofiar i biły się o łupy. Tuż za nimi pchały się następne.

- Została mi już tylko jedna flara - oświadczył Hume.

Już tylko jedna flara. A zatem zaraz otoczą ich zupełne ciemności, dokładnie skrywające nacierającą armię.

- Ciekawe, czy te potwory obserwują nas teraz? - Rynch ponuro zapatrzył się w mrok.

- Albo one, albo to coś, co je tu przysłało. Wiedzą, co robią.

- Twoim zdaniem w przeszłości też tak postępowały?

- Chyba tak. Kapsuła ratunkowa była właściwie wyposażona na wypadek awaryjnego lądowania, a w jej bagażnikach brakuje części zapasów.

- Przecież to wy je stamtąd wyciągnęliście... - odparował Rynch.

- Nie. Tu mogli wylądować prawdziwi rozbitkowie, choć nie znaleźliśmy żadnych śladów. Teraz już się domyślam, dlaczego...

- Ale przecież wy, ludzie Gildii, byliście tutaj i nie wykryliście tych stworów!

- Wiem. - Głos Hume'a zdradzał zmieszanie. - Wtedy nie znaleźliśmy ani śladu.

Rynch cisnął ostatnim kamieniem i usłyszał, że nieszkodliwie toczy się po skałach. Hume ważył na dłoni jakiś przedmiot.

- Ostatnia flara!

- Co to jest? O tam!

Rynch dostrzegł, jak na pociemniałym brzegu rzeki coś błyska, tworząc migotliwy wzór, zupełnie odmienny od piekielnych świateł otaczających wysepkę.

Hume wycelował promiennik w niebo i odpowiedział serią krótkich wybuchów.

- Kryj się!

Wołanie nadbiegło w dużej wysokości ponad wodą, tak zniekształcone, że wcale nie przypominało głosu człowieka. Hume przyłożył dłoń do ust i odkrzyknął:

- Jesteśmy na górze, bez osłony!

- Kładźcie się, strzelamy!

Położyli się, przytuleni do siebie, skuleni na ciasnej przestrzeni. Nawet przez zamknięte powieki Rynch widział, jak brzegi wyspy smagają oślepiające, miotane ludzką ręką błyskawice, które zmieniają pełzającą monstra w cuchnący popiół. Podmuchy wybuchów musiały ogarnąć także światła, bowiem gdy Rynch i Hume wyprostowali się ostrożnie, zobaczyli jedynie garstkę rozproszonych, przygasających kul.

Dławili się, kasłali, ocierali załzawione oczy. Dyni buchający ze zwęglonych skat zasnuł doszczętnie wysepkę.

- Nad wami kopter i lina ratunkowa!

Głos dobiegał z pustej przestrzeni ponad ich głowami. Zobaczyli koniec liny, na końcu której przymocowany był pas. Druga lina dopiero się rozwijała.

Jak jeden mąż schwycili liny i spięli się pasami.

- Ciągnijcie! - zawołał Hume.

Liny naprężyły się i obydwaj zawiśli nad wysepką. Niewidzialny pojazd przeniósł ich na wschodni brzeg.

8

Z szarych ścian padało przytłumione, jednostajne światło. Leżał na plecach w pustej celi. Powinien się ruszyć, zanim przyjdzie Salarkianin Darfu i rozkaże mu wstać potężnym kopniakiem lub jednym z tych ciosów na odlew, którymi zwykł zmuszać ludzi do posłuszeństwa.

Vye zamrugał. Nie leżał wcale w swojej izdebce w „Roju Gwiazd”. Mówił mu to zarówno nos, jak i oczy. Nie było tu śladu brudu czy zgnilizny. Usiadł sztywno i popatrzył na swoje ciało z tępym zdumieniem. Brązowe i nagie, ubrane jedynie w szeroki pas z łuskowatej skóry i skrawek tkaniny na lędźwiach. Na stopach miał ciężkie sandały, a całe nogi, aż po uda, były obłożone uzdrawiającymi plastrami i upstrzone sińcami.

Z wysiłkiem nakłaniał swój umysł, równie zeszywniały jak ręce i nogi, usiłując sobie przypomnieć ostatnie wydarzenia. Pamięć niezdarnie kojarzyła obrazy.

Ostatniej nocy - albo wczoraj - został tu zamknięty Rynch Brodie. A to miejsce znajdowało się w jednym z przedziałów ładunkowych statku kosmicznego należącego do człowieka zwanego Wassem. To właśnie pilot Wassa wykradł ich kopterem z rzecznej wysepki oblężonej przez potwory.

Był to tajny, ufortyfikowany obóz - kryjówka Wassa. Vye stał się więźniem, którego bardzo niepewna przyszłość zależała od woli VIP-a oraz człowieka nazwiskiem Hume.

Hume nie pokazał po sobie zdziwienia, kiedy w świetle lampy pojawił się Wass, by powitać wyratowanych.

- Widzę, że byłeś na polowaniu.

Jego wzrok przesunął się z Hume'a na Ryncha i z powrotem.

- Tak, ale to nie ma znaczenia! - odparł łowca ze zniecierpliwieniem w głosie.

- Nie? To w takim razie, co ma znaczenie?

- To nie jest nie zamieszkały świat, muszę zdać z tego raport. Zabierz moich klientów z tej planety, zanim coś im się stanie!

- Myślałem, że wszystkie światy safari zostały zarejestrowane jako nie zamieszkane - odparował Wass.

- Ten do nich nie należy. Nie wiem, jak to się stało i dlaczego. Ale ten fakt musi zostać zgłoszony, a klienci...

- Nie tak szybko. - Wass mówił cichym, niemal łagodnym głosem. - Patrol zainteresowałby się takim raportem, prawda?

- Jasne... - zaczął Hume i urwał nagle.

Wass uśmiechnął się.

- Widzisz sam, już komplikacje. Nie chcę niczego wyjaśniać Patrolowi. Ty zapewne też nie, mój młody przyjacielu, jeżeli choć chwilę zastanowisz się nad tym, co mogłoby wynikać z takich wyjaśnień.

- Nie byłoby żadnych kłopotów, gdybyś się trzymał z dala od Jumali. - Hume odzyskał panowanie nad sobą; kontrolował już swój głos i gesty. - Czy raporty Rovalda nie były dostatecznie dokładne, żeby cię zadowolić?

- Rzykowałem bardzo wiele przy tym projekcie - odparł Wass. - A poza tym szef powinien od czasu do czasu kontrolować swych ludzi. Robią się nieuważni, jeśli się ich nie pilnuje. A zresztą chyba naprawdę dobrze, że się tu zjawiłem, czy nie tak, łowco? Czy może wolałbyś dalej tkwić na wyspie? Trzeba się zastanowić, czy nie da się uratować kogoś z naszych planów, ale na razie nie wykonamy żadnego ruchu. Nie, Hume, twoi klienci będą musieli radzić sobie sami jeszcze przez jakiś czas.

- A jeśli pojawią się kłopoty? - zaatakował go Hume.

- Raport o ataku obcych z pewnością sprowadzi tu Patrol.

- Zapominasz o Rovaldzie - upomniał go Wass. - Szansa, że któremuś z twoich klientów uda się uruchomić przekaźnik na statku, jest niewielka, a Rovald już dopilnuje, by nie było jej wcale. Jak widzę, znalazłeś Brodiego.

- Tak.

- Nie!

Co go opętało, żeby zaprzeczać? Głupotę swojego wybuchu dostrzegł natychmiast we wzroku Wass.

- To wszystko staje się coraz bardziej interesujące - zauważył VIP ze zwodniczą łagodnością w głosie. - Jesteś Rynchem Brodie, rozbitkiem z largo drift, nieprawdaż? Ufam, iż Poszukiwacz Ścieżek wyjaśnił ci, jak wielkie znaczenie ma dla nas twoje dobro, szlachetny panie Brodie.

- Nie nazywam się Brodie.

Był tak uparty, że zdecydowawszy się na skok w niebezpieczne wody prawdy, nadal chciał w nich pływać.

- To doprawdy niezwykle frapujące. Skoro nie jesteś Brodiem, to kim w takim razie jesteś?

W tym właśnie tkwiło sedno sprawy. Nie potrafił powiedzieć Wassowi, kim jest, wyjaśnić, że płatanina jego wspomnień jest pełna ogromnych luk.

- A ty. Poszukiwaczu Ścieżek - jadowite spojrzenie Wassa przeniosło się z powrotem na Hume'a - może ty potrafisz wyjaśnić należycie te rewelacje.

- To nie jego sprawa - wybuchnął. - Zapamiętałem... Jakieś niewytłumaczalne uczucie kazało Rynchowi wstawić się w tym momencie za Hume'em.

O dziwo, Hume roześmiał się beztrosko.

- Tak, Wass, twoi technicy nie są tak dobrzy, za jakich się uważają. Nie postępował zgodnie z mechanizmami, które w nim zaszczepili.

- A szkoda. Niestety, coś za często dochodzi do pomyłek, gdy mamy do czynienia z czynnikiem ludzkim. Peake! - Jeden z trzech mężczyzn podszedł bliżej. - Odprowadzisz tego młodego człowieka do statku i dopatrzysz, by został bezpiecznie ukryty. Naprawdę szkoda. Musimy teraz sprawdzić, ile się da uratować.

Vye został zaprowadzony do zamkniętego pomieszczenia, gdzie dano mu pojemnik z żywnością i pozostawiono samemu sobie wśród czterech nagich ścian. Tam mógł do woli zastanawiać się nad pożytkami płynącymi z gadania, co ślina na język przyniesie. Jak mógł być taki bezmyślny? VIP kalibru Wassa nie zwykł pływać w bagnistych kanałach „Roju Gwiazd”, lecz rasa takich jak on ma tam swych pośledniejszych, choć równie groźnych przedstawicieli. Na tej podstawie Vye mógł łatwo przewidywać, że jest to człowiek bezlitosny, silny i dokładny.

Zaalarmował go jakiś dźwięk, delikatny, lecz łatwo słyszalny w cichej przestrzeni kabiny magazynowej. Na widok szczeliny w rozsuwanych drzwiach przycisnął się, chwytając pojemnik z żywnością, jedyną dostępną broń. Do środka wszedł Hume i bezzwłocznie zamknął za sobą drzwi. Łowca przyłożył ucho do ściany, najwyraźniej nasłuchując.

- Ty przemądrzały idioto! - przemówił szeptem. - Musiałeś wczoraj tak kłapać szczęką? Posłuchaj mnie teraz uważnie. To będzie duże ryzyko,, ale musimy spróbować.

- My? - wyrwało się Vye'owi.

- Tak, my! Powinienem cię tutaj zostawić, żebyś mógł dalej się tak popisywać przed Wassem. To właśnie bym zrobił, gdybym cię nie potrzebował! Gdyby nie klienci... - Gwałtownie pochylił głowę, przywarł policzkiem do ściany, znowu nasłuchiwał. Po dłuższej chwili na nowo zaczął szeptać: - Nie mam czasu, żeby to wszystko powtarzać. Za jakieś pięć minut przyjdzie tu Peake zjedzeniem. Ja wyjdę

stąd wcześniej, ale nie zarygluję drzwi. Po przeciwnej stronie korytarza jest druga kabina magazynowa; sprawdź, czy możesz się w niej ukryć, potem zwab go tutaj i zamknij. Zrozumiałeś?

Vye skinął głową.

- Następnie idź do komory wyjściowej. Weź to. - Wyciągnął zza pasa jakiś pakiet. - To są flary, widziałeś na wyspie, jak one działają. Wyjdź na rampę i rzuć jedną. Powinna uderzyć w barierę siłową obozowiska i odwrócić ich uwagę. Potem biegnij do koptera. Zrozumiałeś?

- Tak.

Tak, kopter znakomicie nadawał się do ucieczki. Przez barierę siłową można się było przedostać tylko górą.

Hume spojrział ponuro na Vye'a, jeszcze raz sprawdził, czy nie słyszy niczego podejrzanego, i wyszedł. Vye wolno policzył do pięciu, po czym wyszedł w ślad za nim. Kabina po drugiej stronie korytarza była otwarta, tak jak mówił Hume. Wślizgnął się do środka i czekał.

Peake już nadchodził, metalowe podeszwy jego butów wydawały miarowy stukot. Zatrzymał się, włożył kontener z jedzeniem pod pachę i zabrał się do odciągania sztaby na drzwiach drugiej kabiny.

Vye natychmiast przystąpił do działania. Z całej siły zdzielił Peake'a pięścią w plecy, powalając go na podłogę, a potem nieprzytomnego wrzucił do pomieszczenia, które dotychczas było jego więzieniem. Nim tamten zdołał stanąć na nogi albo zorientować się w sytuacji, zatrzasnął drzwi i nałożył sztabę.

Pędem pokonał korytarz prowadzący do klatki schodowej i zbiegł po szczeblach zamocowanej tam drabiny ze zwinnością, którą zrodziła w nim nagląca potrzeba chwili. Szybko ocenił swoje położenie. Po lewej stronie znajdował się kopter, a po prawej grupa ludzi oświetlonych jaskrawym blaskiem atomowej lampy.

Vye wszedł na rampę i otarł o udo spoconą dłoń. Nie wolno źle rzucić tej flary. Wybrawszy miejsce, znajdujące się niezupełnie w jednej linii z lampą, lecz wystarczająco blisko grupy mężczyzn, cisnął flarę z całą siłą, na jaką go było stać. Potem długimi susami pokonał rampę i pobiegł w stronę statku.

Błysk i głośnie okrzyki - Vye stłumił odruch, by obejrzeć się za siebie i dalej pędził do koptera co sił w nogach. Z rozmachem otworzył drzwi kabiny i wślizgnął się do ciasnej przestrzeni za siedzeniem pilota zostawiając z przodu miejsce dla Hume'a. Krzyki były coraz liczniejsze - widział ogień, pomykający drżącymi liniami od ziemi

ku niebu, wzdłuż całej bariery.

Na tle ściany ognia ukazała się czarna sylwetka biegnącego co sił w nogach mężczyzny. Hume minął statek, wspiał się do otwartego kokpitu koptera i wsunął za pulpity kontrolny. Nie czekając na nic, odciągnął dźwignie. Wzniesli się pionowo z prędkością, która wbiła Vye'owi żołądek do gardła.

Ścigająca ich linia ognia jednego przynajmniej blastera leciała za wolno i za nisko. Usłyszał, jak Hume coś mruczy do siebie i znowu poderwali się wyżej.

- Najwyżej pół godziny - powiedział Hume.

- Do obozu safari?

- Tak.

Przestali się już wznosić. Kopter rwał do przodu niczym pocisk, przedzierając się przez mrok nocy.

- Co to jest? - Vye nagle pochylił się do przodu.

Czyżby jakieś gwiazdy z kosmicznej próżni wyrwały się na wolność ze swych stałych orbit? W stronę rozpędzonego koptera mknęły w półkolistej formacji świetlne punkty.

Hume nacisnął jakiś guzik - kolejny, gwałtowny skok wyniósł ich ponad zabłąkane ogniki, lecz okazało się, że na nowym pułapie frunie ich jeszcze więcej. Leciały wprost na kopter.

- Zwykły kurs zderzeniowy - mruknął Hume, bardziej do siebie niż do Vye'a.

Kopter ponownie nabrał prędkości. Wtem w gładki warkot zespołu napędowego wdarły się jakieś fałszywe nuty, a po chwili silniki zarzęziły protestujące. Hume zaczął majstrować przy przyciskach kontrolnych, a na jego czole i skroniach pojawiły się paciorki potu, widoczne w blasku świateł kabiny.

- Silniki gasną!

Zatoczył szeroki krąg i warkot zabrzmiał ponownie jednostajnym, uspokajającym rytmem.

- Wyprzedź je!

Vye obawiał się jednak, że w walce z nieznanymi mocami znowu znaleźli się po przegranej stronie. Poprzednio zaganiano ich do rzeki, teraz zachodzono ich na niebie, spychając w stronę gór. Wróg ścigał ich w powietrzu!

Resztki uporów kazały Hume'owi walczyć. Wzlatywał coraz to wyżej i zawsze napotykał wykwitające przed nim, poskręcane szeregi świetlnych punktów, których oddziaływanie na silniki koptera groziło katastrofą.

Vye nie miał teraz najmniejszego pojęcia, gdzie znajduje się którykolwiek z obozów. Domyślał się, że Hume też nie bardzo orientuje się w ich położeniu.

Hume włączył przekaźnik i rozpaczliwie próbował znaleźć połączenie, aż w końcu usłyszeli szczęk sygnału - automatyczną odpowiedź z obozu safari. Wówczas jego palce wystukały na klawiaturze serię zakodowanych dźwięków ostrzegających przed niebezpieczeństwem.

- Wass ma człowieka w naszym obozie. Jest zagrożony w takim samym stopniu jak pozostali. Raczej nie złoży raportu Patrolowi, niemniej jednak być może nie wyłączy bariery siłowej i nie wypuści klientów... tylko że później, kiedy Gildia sprawdzi nagrane raporty, będzie to powód do oskarżenia go o zaniedbanie i próbę zabójstwa. Moje ostrzeżenie nagrało się właśnie na statku i zostanie przejęte przez Gildię... Rovald raczej nie jest w stanie zmienić treści tego raportu i wie o tym. Tylko tyle możemy na razie zrobić...

- Czy wiesz cokolwiek o tych terenach? - nalegał Vye. Wiedza Hume'a mogła być ich jedyną nadzieją.

- Przelatywałem nad tym łańcuchem dwa razy. Nie ma tu nic godnego uwagi.

- Ale coś tu na pewno jest.

- Nasze badania niczego nie ujawniły.

Hume mówił zmatowiałym ze zmęczenia głosem.

- Jesteś człowiekiem Gildii, miałeś już przedtem do czynienia z formami obcego życia...

- Gildia nie zajmuje się inteligentnymi stworzeniami. To sprawa Patrolu. Nie lądujemy na planetach, na których występują nie znane formy inteligentnego życia. Po co narażać się na kłopoty, w takich warunkach nie można organizować safari. Specjaliści z Rady Patrolu uznali Jumalę za dziki świat, a nasze badania to potwierdziły.

- Czy ktoś lub coś mogło tu wylądować po waszym odjeździe?

- Nie sądzę, to zbyt dobrze zorganizowana akcja. A ponieważ mamy satelitę w kosmosie, każdy pojazd lądujący tutaj zostałby zauważony i zarejestrowany. Na ekranach Gildii nie pojawiła się taka informacja. Jeden mały statek, taki jak statek Wassa, mógł się prześlizgnąć dzięki znajomości procedury, ale żeby wylądować ze wszystkimi tymi bestiami i sprzętem, potrzebowaliby normalnego transportu. Nie, to muszą być jacyś tubylcy.

Hume pochylił się do przodu i nacisnął jakiś guzik. W odpowiedzi na głównej

tablicy zabłyśło małe czerwone światełko.

- Alarm radarowy - wyjaśnił.

Dzięki temu ostrzeżeniu udało im się nie roztrzaskać o ścianę jakiegoś klifu; było to jednak niewielką pociechą wobec innych straszliwych ewentualności.

Hume w porę zauważył niebezpieczeństwo. Światełko mrugało coraz szybciej, a automatyczny pilot, współdziałający z radarem, zmniejszył prędkość koptera. Hume nie zdjął rąk z pulpitu, lecz system przekąźnikowy samorzutnie uruchomił urządzenia ratunkowe w czasie, w którym człowiek nie zdążyłby nawet pomyśleć o tym.

Pułap lotu został obniżony, system radarowy wybrał najlepsze posunięcie. Automatycznie teraz sterowany kopter leciał prosto do optymalnego miejsca lądowania. Kilka minut później podwozie dotknęło powierzchni, chwilę potem umilkły silniki.

- To tyle - powiedział Hume.

- Co teraz zrobimy? - dopytywał się Vye.

- Będziemy czekać...

- Czekać! Na co?

Hume zerknął na swój zegarek wskazujący czas planetarny.

- Została jeszcze jakaś godzina do świtu, jeśli świt zapada tutaj o tej samej porze, co na równinach. Nie ma po co błędzić w ciemnościach.

Brzmiało to sensownie. Tylko że siedzenie tutaj, w milczeniu, w ciasnocie, w niewiedzy, co ich czeka na zewnątrz, było próbą, którą Vye nie bardzo chciał znosić. Hume pewnie zdawał sobie sprawę z tego, co chłopak czuje, być może zresztą tylko postępował zgodnie z rutynową procedurą, bo odwrócił się, rozsunął jeden z bocznych paneli i wyciągnął sprzęt ratunkowy przeznaczony dla lądujących awaryjnie pilotów.

Zapakowali racje żywnościowe do niewielkich plecaków. Pocięli koc z wodoodpornego, lekkiego jak puch jedwabiu, tkanego z pajęczyn pajaków ozakiańskich, by Vye miał się czym okryć. Szycie pozwoliło im zabić czas do chwili, kiedy szarzące niebo ukazało im pełną panoramę kotliny, w której wylądował kopter. Tworzył ją szeroki nawis z granatowego kamienia, wrzynający się w ciemną plamę roślinności porastającej góry.

Po prawej stronie było urwisko, a kilka stóp z tyłu za kopterem zaczynało się zbocze. Przed nimi biegła ukośnie w górę zwężająca się ścieżka.

- A może znowu wzbijemy się w powietrze? - Vye bardzo pragnął usłyszeć, że jest to w ogóle możliwe.

- Spójrz w górę!

Vye oparł się o ścianę klifu i spojrzał na niebo. Na dużej wysokości wciąż unosiły się szwadrony kul, niezmordowanie zataczających szerokie kręgi.

Hume podszedł ostrożnie do skraju nawisu i obejrzał przez lornetkę podstawę urwiska.

- Na razie nic się nie dzieje.

Vye wiedział, co to oznacza. Fruwające nad nimi kule jeszcze nie wezwały niebieskich bestii, czy jakichś innych, współdziałających z nimi stworzeń.

Założyli plecaki i ruszyli brzegiem nawisu. Hume miał przy sobie promiennik, ale Vye był zupełnie bezbronny. Mógł zdobyć dla siebie broń jedynie podczas tej wędrówki. Kamienie, którymi udawało się niszczyć świetlne punkciki oblegające wyspę na rzece, mogły się okazać równie skuteczne w obronie przed bestiami. Dlatego stale się rozglądał dookoła w poszukiwaniu odpowiednio dużych i ciężkich pocisków.

Minęli zakręt, tracąc swój pojazd z oczu. Ścieżka stała się znacznie węższa, przez co podczas marszu ocierali się ramionami o ścianę zbocza. Kule nie przestawały krążyć.

- Nadal idziemy tak, jak one chcą - stwierdził Vye.

Hume opuścił się na czworaki, by móc zejść ze stromego zbocza. Po jego pokonaniu przystanęli na odpoczynek, Vye znowu spojrzał w górę. Niebo było puste.

- Może już doszliśmy albo zaraz dojdziemy - powiedział Hume.

- Do czego?

Hume wzruszył ramionami.

- Wiesz tyle samo co ja. I pewnie obydwaj się mylimy.

Stroma ścieżka, obiegająca skalną ścianę, nie łączyła się z samym wierzchołkiem zbocza, ale przynajmniej była równa i nieco szersza, dzięki czemu nie musieli już tak bardzo uważać na swoje kroki. Po chwili znaleźli się w rozpadlinie utworzonej przez dwie wysokie skały i zaczęli schodzić w dół.

Ta ścieżka jest nienaturalnie równa, pomyślał Vye, zupełnie jakby wykuto ją dla wędrowców. W tym momencie szlak wyprowadził ich na skraj zadrzewionej doliny, pośrodku której znajdowało się jezioro. Zeszli ze skalnej powierzchni na torfowe podłoże, uginające się sprężysto pod ich stopami.

Nagle Vye uderzył sandałem o okrągły kamień. Wystawał z niebieskozielonego poszycia, ziejąc dwoma ślepyimi otworami. Ludzka czaszka.

Hume ukląkł i rozgarnąwszy poszycie, delikatnie uniósł wiązanie kręgow. Przez krótką chwilę przyglądał się miejscu, w którym kręgosłup był zmiażdżony i przerwany, po czym delikatnie ułożył kości tak samo, jak leżały przedtem.

- To zostało zrobione zębami!

Misa zielonej doliny nie uległa żadnej zmianie. Odkąd wyszli z rozpadliny, nic się jeszcze nie stało. Jednak trudno się było oprzeć wrażeniu, że każda kępa drzew, każdy krzew kołyszący się na wietrze kryją w sobie coś strasznego. Vye oblizał wargi i oderwał wzrok od czaszki.

- Zupełnie zwietrzała - powiedział powoli Hume. - Leży tu pewnie od wielu sezonów, a może nawet lat.

- Czy to jakiś rozbitek z kapsuły? Przecież to miejsce jest oddalone o wiele dni drogi od tamtej polany na równinie. Jak on się tu dostał?

- Prawdopodobnie tą samą drogą, którą my doszlibyśmy tutaj, gdybyśmy nie uciekli na wysepkę...

Przygnano go tutaj! Być może to właśnie kule albo niebieskie bestie zapędziły rozbitka do tej ślepej doliny. To znaczy, że ten proces trwa już od dłuższego czasu.

- Dlaczego?

- Mogę ci podać dwa wyjaśnienia. - Hume przyglądał się zmrużonymi oczyma najbliższemu drzewom. - Po pierwsze, każdy, kto przybywa na Jumalę, niezależnie od motywów przybycia, jest intruzem, którego trzeba poddać kontroli, zostaje więc przygnany do tej doliny. Po drugie... - zawahał się.

Wyobraźnia podała już Vye'owi ten drugi powód, tak ohydny, że ledwie potrafił wypowiedzieć go na głos:

- Przerwany kręgosłup... ten człowiek został pożarty...

Vye pragnął, by Hume zaprzeczył, ale wyraz twarzy łowcy był dostatecznie wymowny.

- Wynośmy się stąd!

Vye resztki opanowania rzucał przeciwko ogarniającej go panice. Z trudem się powstrzymał, by natychmiast nie uciec w stronę rozpadliny, którą tu weszli. Wiedział też, że za nic nie pójdzie dalej, w głąb tej złowieszczej doliny.

- Jeśli nam się uda!

Słowa Hume'a zadźwięczały potwornym echem w jego uszach.

Kule krążące nad rzeką udawało się rozbijać kamieniami. Vye postanowił, że jeśli znowu je zobaczy, to rzuci się na nie z gołymi rękoma i będzie je rozrywał na strzępy. Hume musiał myśleć podobnie, bo ruszył zdecydowanym krokiem w stronę wyjścia na zbocze.

Okazało się jednak, że rozpadlina w skalnej ścianie jest zamknięta. Stopa Hume'a, podniesiona do ostatniego kroku, uderzyła w niewidzialną przeszkodę. Obrócił się, chwytając Vye'a za ramię.

- Tam coś jest!

Chłopiec z niedowierzaniem wyciągnął rękę. Jego palce nie rozpląszczyły się na twardej, litej powierzchni, lecz na niewidocznej, elastycznej zasłonie, która uginała się nieznacznie pod dotykiem, natychmiast naprężając znowu.

Razem zbadali to, czego oczy nie widziały. W poprzek rozpadliny, przez którą weszli, rozpościerała się teraz zasłona. Nie potrafili jej ani przebić, ani zerwać. Hume usiłował zniszczyć ją strzałem z promiennika. Patrzyli jak cienki płomyk pełźnie w górę i w dół, nie pozostawiając jednak najmniejszego śladu na niewidzialnej barierze.

Hume przymocował promiennik do pasa.

- Złapali nas w pułapkę.

- Może znajdziemy jakieś inne wyjście!

Vye był już jednak absolutnie pewien, że to płonna nadzieja.

Twórcy pułapki na pewno nie zostawili żadnych wyjść. Jest jednak coś takiego w ludziach, że nigdy nie poddają się bez walki, i dlatego właśnie Hume i Vye ruszyli w drogę, nie środkiem doliny, lecz wzdłuż jej zbocza.

Zagradzające drogę bujne zarośla i grupy drzew zmuszały ich do powolnego

schodzenia w dół. Znajdowali się już w sporej odległości od rozpadliny, gdy Hume zatrzymał się, podnosząc ostrzegawczo dłoń. Vye wytrzymał słuch, starając się wychwycić dźwięk, który zaalarmował jego towarzysza.

Nic. Zdał sobie sprawę, że tu w ogóle nic nie słychać. Równiny rozbrzmiewały chórem popiskiwań, buczenia i świergotu milionów mieszkańców trawy. Tutaj panowała cisza, zakłócana jedynie przez szum wiatru i nieliczne odgłosy owadzych skrzydeł. Prawdopodobnie wszystkie stworzenia większe od jumałańskiej muchy dawno temu uciekły z tego miejsca.

- Po lewej.

Hume obrócił się w drugą stronę.

Tam również rosły gęste zarośla, zbyt niskie, by ich cień mógł cokolwiek skryć. Stworzenie, które się tam ruszało, musiało czaić się z tyłu.

Vye rozejrzał się dookoła rozszalałym wzrokiem, w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby mu posłużyć jako broń. Wreszcie schwycił długą maczetę, którą Hume miał zatknietą za pasem. Osiemnastocalowe ostrze z grubej stali lśniło złowrogo, a rękojeść pasowała jak ulał do jego dłoni, gdy podniósł broń przed sobą w obronnym geście.

Hume podchodził powoli do krzewu, a Vye skradał się po jego lewej stronie, w odległości zaledwie kilku kroków. Łowca potrafił znakomicie posługiwać się promiennikiem; również takiej umiejętności wymagano od prowadzących safari. Vye natomiast mógł zaproponować inną pomoc. Zdjął z pleców zawiniątko z koca i cisnął je daleko przed siebie.

Pomysł okazał się skuteczny - z zarośli wyskoczyła ruda smuga i wylądowała tuż obok przynęty. Hume wypalił z promiennika. Odpowiedział im przenikliwy wrzask kota wodnego. Zwierzę zdechło w straszliwych męczarniach, wśród woni spalonego futra i mięsa. Po krótkiej chwili Vye wyciągnął plecak z zaciśniętych na nim pazurów.

- Dziwne.

Hume schwycił wciąż drgającą przednią kończynę i rozciągnął ciało kota jednym, mocnym szarpnięciem. Był to olbrzymi samiec, większy od wszystkich, jakie kiedykolwiek napotkał. Gdy jednak przyjrzał mu się uważniej, zauważył wyraźne pierścienie żeber pod zmierzwionym futrem, a skórę miał zbyt mocno opiętą na czaszce. Kot wodny był bliski śmierci z głodu; najprawdopodobniej to desperacja zmusiła go do ataku na ludzi.

- Ani wyjścia, ani pożywienia - Vye głośno skojarzył jedną myśl z drugą.
- To prawda. Pozamykać wrogów w jednym miejscu, pozwolić, by się nawzajem wykończyli.

- Ale po co? - dopytywał się Vye.

- Tak jest łatwiej.

- Na równinach jest mnóstwo kotów wodnych. Nie da się ich zagnać tu wszystkich, żeby się nawzajem wykończyły. To by potrwało całe lata, nawet stulecia.

- Być może tego schwytano przypadkiem albo w celu podtrzymania jakiegoś procesu - odparł Hume. - Nie wierzę, że to wszystko urządzono tylko w celu wymordowania kotów wodnych.

- Przypuśćmy, że to wszystko zaczęło się jakiś czas temu, a ci, którzy to zrobili, odeszli, więc teraz to wszystko działa samoistnie, bez kontroli jakiegokolwiek inteligencji. Może tak być, nieprawdaż?

- Cały proces uruchamia się, kiedy w tej części Jumali ląduje statek, a być może wtedy, gdy planeta znajduje się w jakichś specjalnych warunkach. Tak, to się wydaje sensowne. Tylko dlaczego załoga pierwszego statku Patrolu nie wpadła w tę pułapkę? Nasza grupa zwiadowcza spędziła tu wiele miesięcy na sporządzaniu katalogów i map... nie było mowy o takim problemie.

- Tamten martwy człowiek przybył tu dawno temu. Kiedy zniknął largo drift?

- Pięć, sześć lat temu. Nie umiem ci jednak nic wytłumaczyć. Sam nic nie rozumiem.

Zaczął się od niskiego buczenia, ledwie słyszanego na tle dalekiego szumu wiatru. Potem natężenie dźwięku wzrosło i ciche skomlenie przeszło w lamentujący krzyk, torturujący uszy wywlekający z ukrycia te lęki, które czuje człowiek stając wobec czającej się w mroku tajemnicy.

Hume schwycił Vye'a i zaciągnął go siłą za kępę krzaków. Podrapani do krwi stali w niewielkim zagłębieniu, po kolana zanurzeni w liściach. Łowca wyprostował stratowane gałęzie. Z ukrycia obserwowali polanę, na której leżało ciało kota wodnego.

Skowyt ustał zupełnie nagle, co potraktowali jako dodatkowe ostrzeżenie. Vye dotknął ziemi i wyczuł wibrowanie. W ich stronę szło coś niezwykle ciężkiego.

Czy to zapach śmierci przyciągnął owo nie znane stworzenie? A może cały czas szło za nimi? Hume głośno wciągnął oddech. Wsunął promiennik między skrywające ich liście, ustawił celownik.

Sapanie, głośniejsze od ludzkiego. Po drugiej stronie polana pojawiła się niewyraźna plama cielska jakiegoś wielkiego zwierzęcia. Gwałtownym ruchem rozgarnęło liście i gałęzie krzaków, nieomal wrywając je z korzeniami. Gdy wyczłapało na otwartą przestrzeń, okazało się, że wygląda jak daleki kuzyn niebieskich bestii. Jeśli jednak tamte budziły tylko wrażenie brutalności i zagrożenia, to stworzenie, wyższe od Hume'a przygarbione i pozbawione szyi, stanowiło żywe wcielenie najczystszej okrucieństwa. Zaokrąglona dolna szczęka szczyrzyła monstrualne kły, uosobienie drakulicznych snów.

Wyraźnie wygłodniały potwór porwał trupa kota wodnego i pożarł bez żadnych ceregieli. Vye przypomniał sobie zmiażdżony kręgosłup ludzkiego szkieletu i poczuł, jak chwytają go mdłości. Stwór zakończył ucztę, podniósł się na tylne łapy i obrócił groszkowaty łeb w drugą stronę. Vye czekał w napięciu, pewien, że zaraz wysunie rurkowaty nos, wciągnie powietrze i złapie ich trop.

Hume uruchomił promiennik. Bezgłośna włócznia śmierci uderzyła w sam środek beczkowatego cielska. Stworzenie zawył i rzuciło się jak oszalałe na ich krzak. Hume wycelował po raz drugi w jego szpetny łeb i spopielił do gołej kości porastającą go sierść.

Chybając o jeden krok, bestia runęła prosto w gąszcz. Targana drgawkami osunęła się na kolana i zaczęła donośnie wyc. Mężczyźni wypadli z zarośli na otwartą przestrzeń i ukryli się za skalnym kominem, wylupanym z macierzystego klifu. Krzaki na dole zbocza wciąż poruszały się gwałtownie.

- Co to było? - wyjąkał Vye między urywanymi oddechami.

- Może to strażnik, którego obowiązkiem jest niszczenie wszystkich więźniów doliny. Prawdopodobnie nie jest sam. - Hume przejechał palcami po promienniku. - Został mi już tylko jeden magazynek.

Vye obrócił nóż trzymany w rękach i próbował sobie wyobrazić, w jaki sposób walczyłyby z potworem za pomocą tak lichej broni. Jeśli jednak stwór miał jakichś towarzyszy, to żaden z nich nie przybył w odpowiedzi na przedśmiertne wycie. A kiedy nastała cisza, Hume gestem dłoni nakazał Vye'owi wyjść z ukrycia.

- Od tej pory będziemy się trzymali otwartych przestrzeni, bo lepiej zawczasu widzieć nadciągające niebezpieczeństwo. Chciałbym też znaleźć jakieś schronienie na noc.

Wędrowali górnymi partiami stromej zbocza i po jakimś czasie doszli do łożyska wyschniętego strumienia i koryta wodospadu. Tworzący go nawis nie był zbyt

głęboki, ale od biedy mógł posłużyć za schronienie. Z nagromadzonych gałęzi i kamieni utworzyli barykadę, potem zasiedli za nią, by posilić się, oszczędnie dawkując prowiant.

- Tam na dole jest jezioro. Najgorsze, że woda w tak suchej krainie zawsze przyciąga drapieżniki. To jezioro jest całkowicie otoczone lasem, który na pewno kryje w sobie tysiące zasadzek.

- Może uda nam się znaleźć wyjście, zanim opróżnimy bukłaki - stwierdził Vye.

Hume nie odpowiedział od razu.

- Człowiek może żyć bardzo długo ze skąpymi racjami żywności, a my mamy jeszcze tabletki z zapasów koptera. Ale nie da się długo żyć bez wody. Mamy dwa bukłaki. Nawet jeśli będziemy bardzo oszczędzali, wystarczą nam na dwa, najwyżej trzy dni.

- Powinniśmy obejść te zbocza w ciągu jednego dnia.

- Jeśli nawet znajdziemy wyjście, w co wątpię, dla dalszej wędrówki nadal będziemy potrzebowali wody. Ta woda tam czeka, i będzie nas wabić, dopóki pragnienie nie stanie się większe niż strach czy pomysłowość.

Vye poruszył się niecierpliwie, ocierając o ścianę osłoniętymi kocem ramionami. - To znaczy, że nie mamy szans!

- Jeszcze nie zginęliśmy! Tak długo, jak człowiek oddycha, stoi na własnych nogach i zachowuje rozum, zawsze ma szansę. Niejedną walkę wygrałem na pogranicznych światach, choć szansę nie zawsze były po mojej stronie. - Naprężył dłoń z plasta-ciała, do złudzenia przypominającą ludzką, a przecież stanowiącą symbol tego, co kiedyś zmieniło całe jego życie. - Dawno temu stanąłem na skraju śmierci, po czymś takim można przywyknąć do wszystkiego.

- Ja teraz pragnę tylko jednego... dopaść tego, kto zastawił na nas pułapkę - stwierdził Vye.

Hume zaśmiał się cierpko.

- Zupełnie jak ja, chłopcze. Ale zdaje się, że długo nam przyjdzie czekać na takie spotkanie.

Vye resztkami sił wypełził z miejsca osłoniętego skalnym nawisem. Słońce, odbijające się od ściany stoku, smagało ognistym biczem jego wychudzone ciało. Spuchniętym językiem obracał kamyk w spragnionych ustach i patrzył zmętniałym wzrokiem w dół zbocza, na kuszącą taflę wody oświetloną słońcem, obrzeżoną lasem, w którym czaiła się śmierć.

Co się właściwie stało? Tamtej pierwszej nocy zasnęli pod wyschlłym wodospadem. Po całym następnym dniu w jego pamięci pozostało jedynie mgliste wspomnienie. Prawdopodobnie nieprzerwanie szli, choć teraz nic nie pamiętał, z wyjątkiem dziwnego zachowania Hume'a, który miał otępiały wzrok i brnął przed siebie jak bezmózgi robot służebny, również mówił niespójnie i szybko, tak że wszystkie słowa zlewały się z sobą. Samemu Vye'owi bezustannie latały przed oczyma czarne plamy.

Po jakimś czasie doszli do jaskini, w której Hume zwałił się na ziemię i nie wstawał pomimo wszelkich prób ocucenia. Vye nie był w stanie określić, jak długo w niej byli. Bał się, że zostanie sam. Gdyby mieli wodę, to może Hume odzyskałby przytomność, ale cała woda została już wypita.

Wydawało mu się, że czuje zapach jeziora, że lekki wiatr wiejący w górę zbocza niesie ze sobą jej zniewalający powab. Na wypadek, gdyby Hume się ocknął i półprzytomny gdzieś powędrował, Vye powiązał go pasami z koca.

Przejechał palcem po ostrzu noża Hume'a, starannie osadzonym w równo przyciętym drewnianym trzonku. Odkąd pozbył się tego zaćmienia umysłu, które wciąż obezwładniało łowcę, robił wszystko, co mógł, by się przygotować na następny atak bestii. Miał także promiennik Hume'a, lecz mógł go wykorzystać tylko w razie naglącej konieczności, ponieważ został już tylko jeden magazynek.

Woda! Poruszył splekanymi wargami, wypluł kamyk. Na szyi miał zawieszzone cztery puste bukłaki. Teraz albo nigdy, bo wkrótce będzie tak słaby, że nie uda mu się nic zrobić. Zbiegł do pierwszej kępy krzaków na dole zbocza.

Żaden podejrzany dźwięk nie zakłócił niesamowitej ciszy doliny. Bez przeszkód dotarł do skraju lasu, na nic już nie zwracał uwagi.

Przykucnął za krzakiem i ogarnął wzrokiem rozciągający się przed nim las. Po dłuższym zastanowieniu postanowił, że znowu najlepiej będzie spróbować

napowietrznej drogi. Bestia, którą zabił Hume, była zbyt ciężka, by móc się wspinać. Vye nie miał takich problemów.

Starannie zamocowawszy włócznię i promiennik u pasa, Vye wspiął się na najbliższe drzewo. Szansa była niewielka, ale była. Z łomoczącym sercem 'skoczył na oślep w konary następnego drzewa. Potem szczęście mu dopisało, bowiem kolejną koronę łączyły z drugą splecione pnącza. Z gałęzi na gałąź, z trudem brnął w stronę jeziora. Wreszcie dotarł do miejsca, w którym już drzewa nie rosły, niestety. Wczepiwszy ręce w pnącza, Vye zawisł, by spojrzeć na wstęgę szarej ziemi - szlak był często używany, o czym świadczyło ubite podłoże.

Ten odcinek trzeba było przejść pieszo... jednak... zostaną ślady. Tylko... nie było innej drogi. Przed wykonaniem skoku sprawdził, czy broń ma przymocowaną dostatecznie mocno. W momencie, gdy jego sandały dotknęły zdeptanej ziemi, natychmiast poderwał się do biegu. Otarł sobie ręce do krwi, wspinając się na pień drzewa po przeciwległej stronie, Pnącza skończyły się, ale za to szerokie konały były mocno rozgałęzione Zeskakiwał z jednego na drugi, zatrzymywał się dla zacerpnienia oddechu, nasłuchiwał.

W ciemności lasu wdarło się słoneczne światło. To był już zewnętrzny pierścieni drzew. By dojść do wody, musiał znowu zejść na ziemię. Zauważył w wodzie zwalony pień. Uda mu się, jeśli wbiegnie na niego i stamtąd zacerpnie wody do bukłaka.

Niesamowita cisza. Nic fruującego, żadnych gadów czy innych zwierząt zamieszkujących pnie drzew, żadne wodne stworzenie nie zakłócało powierzchni jeziora. A jednak wyczuwał jakieś życie, wrogie życie, czające się gdzieś w głębi lasu i na dnie jeziora.

Vye zeskoczył na pień martwego drzewa, złapał równowagę, czując jak pień zanurza się pod jego ciężarem. Przykucnął i wyciągnął pierwszy bukłak, przywiązany mocno do pasa strzëpem koca.

Woda w rzece była brązowa i mętna, tutaj - przezroczysta. Widział wyraźnie pniaki leżące na dnie. I nie tylko!

W głębinach dostrzegł podłużne wybrzuszenie, biegnące tak prostą linią, że nie mógł to być samoistny wytwór natury. Wybrzuszenie łączyło się z następnym pod kątem prostym. Pochylił się i wyteżył wzrok, by ogarnąć nim dalszy ciąg skrytych w ciemnościach wybrzuszeń. Wystające dalej wypukłości wyłaniały się z powierzchni jeziora niczym kły z otwartej paszczy. Tam na dole coś było - coś powstałego

sztucznie, coś, co mogło stanowić odpowiedź na wszystkie ich pytania. Jednak nie mógł zaryzykować i zanurzyć się w jeziorze. Gdyby udało mu się ocucić Poszukiwacza Ścieżek, może on potrafiłby znaleźć rozwiązanie tej zagadki.

Vye szybko napełnił bukłaki, nie przestając obserwować dziwacznej konstrukcji na dnie jeziora. Zauważył, że, o dziwo, nie jest pokryta szlamem, a jej barwa, na ile potrafił to ocenić w ciemnej wodzie, była jasnoszara, może nawet biała. Napełnił ostatni bukłak.

Nagle na dnie, w zbiegającym lesie martwych gałęzi, na boku jednej z tych tajemniczych ścian, coś się poruszyło. Jakiś cień, ukryty wśród wzniecanego szlamu, toczył się naprzód tak szybko, że Vye nie był w stanie dostrzec nawet jego kształtu. Widział jednak, że płynie prosto w stronę bukłaka.

Za nic w świecie nie mógł pozwolić sobie na utratę choćby jednej bezcennej kropli. Raz udało mu się odbyć tę wyprawę bez przeszkód, za drugim razem ryzyko mogło okazać się większe.

Błysk - powoli wynurzający się kształt przybrał formę świszczącej, atakującej włóczni. Vye w ostatniej chwili wyciągnął bukłak z wody w miejscu, w którym ułamek sekundy później wynurzył się przerażający, uzbrojony łeb, osadzony na skręconej, pokrytej łuskami szyi, łomocząc o pień tępo zakończonym nosem. Rozległ się głuchy pogłos. Vye przywarł do pnia, a stworzenie gwałtownym rzutem zanurzyło się w głębinie, pozostawiając po sobie spienioną wodę oraz plamę cuchnącej piany i śluzu wokół nasiąkłego wodą drewna.

Uciekł między drzewa. Tym razem nie słyszał ani ostrzegawczego ryku, ani dudnienia stóp. Błyskająca groźnie kłami bestia wyrosła jakby spod ziemi, przynajmniej takie wrażenie odniósł śmiertelnie przerażony Vye. By dotrzeć do drzewa i jego wątpliwego bezpieczeństwa, musiał wyminąć tę chimere. Potwór czekał z zimną krwią, aż sam wpadnie mu w łapy.

Vye mocniej ujął włócznię. Długość drzewca stanowiła jakąś szansę w walce, ale tylko pod warunkiem, że grot trafi w jakieś czułe miejsce. Wiedział jednak, nie od dzisiaj, jak trudno jest zabić taką bestię.

Paszczka rozwarła się w szerokim, groźnym grymasie. Vye zauważył ostrzegawcze napięcie mięśni ramion. Zwierzę najwyraźniej zamierzało rozszarpać go pazurami. Czekanie oznaczało igranie ze śmiercią. Okrzyk wojenny, jaki wydał z siebie Vye, przeszył ciszę panującą nad jeziorem i w otaczającym je lesie. Skoczył z miejsca, celując czubkiem włóczni prosto w wystający brzuch bestii, a potem rzucił

się w bok. wyrywając broń z cielska, rozdzierając ranę.

Szarpięcie wyrwało włócznię z rąk Vye'a, gdy porwały ją szponiaste łapy. Pękła. Nie czekając, aż potwór go dopadnie, Vye ściął go krótką, serią z promiennika. Gdy zapłonęła sierść, pobiegł w stronę drzewa.

Schowany pod zwisającymi konarami, obejrzał się za siebie. Biedna bestia usiłowała zgasić płonące futro na głowie, daremnie tłukła łapami w swój ohydny łeb; miał jakieś dwie sekundy czasu. Podskoczył i uchwycił się gałęzi, a potem nadludzkim wysiłkiem umknął spoza zasięgu stworzenia, które rzuciło się na oślep w jego kierunku, skrzecząc jak oszalałe z bólu.

Ogromne cielsko zderzyło się z pniem, wywołując wstrząs, który omal nie zrzucił Vye'a na ziemię. Kiedy ogromne przednie łapy zabębniły o drzewo, starając się ściągnąć go na dół, Vye spokojnie wdrapał się na wyższą gałąź. W końcu rozkołysany konar przeniósł go na następne drzewo. A stamtąd czekała go już tylko spokojna wędrówka na skraj lasu.

Sądząc po hałasie, bestia wciąż atakowała drzewo. Vye nie mógł się nadziwić jej witalności, ponieważ taka rana brzucha uśmierciłaby każde znane mu zwierzę. Nie wiedział, czy mimo wszystko nie ruszy jego śladem po drzewach, a poza tym jej ryk mógł przyciągnąć inne podobne stworzenia. Liczyła się każda sekunda.

Przy wyrwie nad szlakiem zawahał się. Ścieżka prowadziła prosto na otwartą przestrzeń - biegnąc poruszały się szybciej. Ześlizgnął się więc z gałęzi, zeskoczył na ziemię i pobiegł. Był zmęczony, wątpił czy starczyłoby mu sił na przedzieranie się przez leśne poszycie. Wybrał ścieżkę.

Jęklive okrzyki bestii były coraz głośniejsze. luz słyszał za sobą łomot niezdarnych kroków ścigającego go zwierzęcia, ale ono też było słabe, ciężkie i poranione. Na otwartej przestrzeni skryje się za jakąś skałą i znowu wygarnie z promiennika.

Las zaczynał rzednieć. Dobywając resztek sił zwiększył prędkość; ściana cienistego lasu wyrzuciła go niczym strzałkę z pistoletu. Przed nim, na zboczu, znajdowało się zamknięte wyjście z doliny. Z lewej strony, uśmiechając się potwornym grymasem, nadbiegała jeszcze jedna niebieska bestia.

Droga między drzewa była zamknięta. Jednakże kolejny potwór poruszał się z tą samą ociężałą pewnością siebie, jaką wykazał wcześniej jego kolega. Vye uskoczył w bok, wszedł w wyrwę między skałami. Kiedy wskakiwał za ten tymczasowy wał obronny, z rosnącego niżej lasu wywlokła się ranna bestia. Zachowywała się, jakby

oślepla, i Vye zrozumiał, że tylko jakiś instynkt pozwala jej iść jego tropem.

Trzęsąc się ze zmęczenia, Vye wsparł przedramię o skałę i ułożył na nim łufę promiennika. W odległości niecałych dwóch jardów od tego miejsca znajdował się zwodniczy otwór. Może gdyby teraz rzucił się. weń - elastyczna, niewidoczna zasłona nie odrzuciłaby go z powrotem prosto w szpony wroga?

Wypalił w łeb temu drogiemu. Bestia zaskrzeczała, wyrzuciła łapy w górę, a jedną z nich trafiła rannego towarzysza. Tamten krzyknął, rzucił się na nią i rozpętał się gwałtowny akt, straszliwy w swej zapalczowości. Vye posuwał się wzdłuż klifu, zdeterminowany dotrzeć do jaskini i Hume'a. Dwa niebieskie stwory natomiast wyraźnie zamierzały wykończyć się nawzajem.

Ten z lasu padł pierwszy, ostre kły rozdarły mu gardło. Zwycięzca rozerwał ciało zabitego, a kiedy już było po wszystkim, podniósł osmalony łeb i spojrzał na Vye'a. Ten w jakiś sposób domyślał się, że bestia wyczuwa jego ruchy, nawet nie mając oczu.

Nie był jednak przygotowany na tak błyskawiczny atak. Dotychczas stworzenia zdawały się dysponować jedynie brutalną siłą, a nie zwinnością. I omal nie dał się oszukać. Uskoczył, wiedząc, że za wszelką cenę musi uniknąć bezpośredniego starcia; słabeusz nie miał szans w walce wręcz z obcym.

Nastąpił moment oszołomienia i zamętu. Vye miał dziwaczne wrażenie spadania przez rozedrganą przestrzeń, w której nigdy nie było i nigdy nie będzie oparcia dla stóp. Staczał się ze skały - poza zasłonę w wyrwie.

Usiadł, mdliło go przez ten dryf w bezkresnej nicości. Widział jak przez mgłę zatrzymującą się niebieską bestię. Stworzenie zawróciło skowycząc, lecz zanim doszło do lasu, zważyło się na kolana, a potem upadło na ziemię i znieruchomiło - kiedyś niszczycielska maszyna, teraz oklapły żagiel, pozbawiony życiodajnego wiatru.

Vye usiłował zrozumieć, co się stało. Przebił się przez barierę, rozbił kraty więzienia w dolinie. Wolność! Potem spojrzał z lękiem na drogę wiodącą ku otwartej przestrzeni, spodziewając się, że zobaczy gromadę kul albo tamte, tylko nieco mniej przerażające bestie z nizin, które udawały pasterzy. Nic na szczęście nie zobaczył.

Wolność! Z wysiłkiem podniósł się na nogi. Może iść! Promiennik Hume'a wysunął za pas. A Hume został w dolinie!

Vye przetarł twarz drżącymi dłońmi. Przeszedł przez barierę i jest wolny, ale ciągle przecież tam jest Hume, bezbronny wobec tropiących go bestii. Chory, bez wody i ochrony, jest martwy, mimo że wciąż oddycha.

Przytrzymując się jedną ręką skalnej ściany, Vye zaczął iść, nie w stronę dalekich nizin, lecz z powrotem w dolinę. Bóg jeden wie, ile go to kosztowało wysiłku woli. Czuł, jak w jego wnętrzu rozlega się donośny krzyk protestu przeciwko czemuś, co wyglądało na zwyczajne samobójstwo. Kiedy dotarł do dwóch punktów w skale, między którymi rozpościerała się za słońca, na próbę wyciągnął rękę. Nie poczuł oporu - bariera zniknęła! Musi wrócić po Hume'a.

Nadal przytrzymując się ściany, Vye przemknął przez skalne wrota i ponownie znalazł się w dolinie. Stał niezdecydowany i nasłuchiwał. Tak jak przedtem, wszędzie panowała cisza, nawet wiatr nie poruszał drzewami czy zaroślami. Ostrożnie stawiając stopę za stopą, ruszył w stronę jaskini, w której leżał Hume. Mgła, która nie pozwalała mu myśleć jasno od samego ranka, ustąpiła. Mimo fizycznego osłabienia, czuł się na powrót żywy i czujny.

W wejściu do jaskini leżał łowca. Udało mu się rozerwać więzy, którymi Vye unieruchomił jego nogi, ale nadal miał spętane ręce. Jego twarz, brudna i spocona, była zwrócona ku słońcu, a w oczach na nowo lśniły iskierki rozumu.

Ostatnie kilka stóp, które ich dzieliły, Vye przebiegł jak na skrzydłach. Niezdarnie rozplątywał więzy na rękach Hume'a, jednocześnie wylewając z siebie potoki informacji. Bariera zniknęła - mogą iść.

Następnie wyciągnął jeden z bezcennych bukłaków, przyłożył go do spragnionych ust Hume'a i wlał kilka łyków w popękane i zakrwawione usta.

Jakoś udało im się dojść do wrót doliny. Kiedy zobaczyli cel swojej wędrówki, Hume wyrwał się z objęć Vye'a i pobiegł na chwiejnych nogach do przodu. Okrzyki, które wydawał, nieledwie przypominały łkanie. Cóż z tego, skoro odbił się jednak, osunął na ziemię i rozłożył jak długi. Szlochając bezgłośnie, obrócił wynędzniałą twarz ku niebu i zamknął oczy. Pułapka znowu była zamknięta.

- Dlaczego? Dlaczego? - Vye powtarzał te słowa bez końca, niewidzącym wzrokiem wpatrując się w lasy otaczające jezioro.

- Powtórz raz jeszcze, co się wydarzyło.

Hume podciągnął się i wsparł ramionami o skalną ścianę. Wyciągnął przed siebie plasta-dłoń i przesuwiał nią po czymś, co wyglądało jak pusta przestrzeń, ale stanowiło barierę odgradzającą ich od wolności. W jego oczach jarzył się chłodny spokój i jakaś bezwzględność.

Powoli, zastanawiając się nad doborem słów, Vye złożył pełne sprawozdanie ze swojego pobytu nad jeziorem, ucieczki przed bestiami, szczęśliwego upadku u

wejścia do doliny.

- Ale wróciłeś.

Vye zaczerwienił się. Nie miał zamiaru tego wyjaśniać. Zamiast tego powiedział:

- Skoro raz już zniknęła, może to zrobić w każdej chwili.

Hume nie podtrzymywał kłopotliwego tematu. Wolał rozmawiać o starciu z ranną bestią. Vye musiał trzykrotnie powtarzać tę opowieść.

- To tyle - odparł Hume, kiedy już wszystko usłyszał.

- Kiedy spadałeś, nie myślałeś już o barierze, mimo że twój rozum pracował.

Wyszedłeś z tego ogłupienia, które nam zafundowali.

Vye pomyślał chwilę i stwierdził, że łowca musi mieć rację. Usiłował uniknąć ataku bestii i w tym momencie myślał jedynie o swym strachu i rozpaczliwej konieczności. Ale co to wszystko w takim razie oznaczało?

Chcąc sprawdzić to, czego nie wie, podpełzł do boku Hume'a, oparł dłoń w miejscu, gdzie ręka z plasta-ciała gładziła nicość. Omal nie upadł na twarz, po drugiej stronie otworu. Tam, gdzie się spodziewał napotkać opór niewidzialnej kurtyny, nie było zupełnie nic! Odwrócił się do Hume'a z miną człowieka, którego ogłuszono niespodziewanym ciosem.

- Dla ciebie jest otwarta!

Hume pierwszy przerwał milczenie. Z jego oczu osadzonych w kościstej twarzy wyzierał smutek.

Vye wstał, zrobił jeden krok i znalazł się po drugiej stronie kurtyny, w miejscu, gdzie dłoń Hume'a wciąż nie mogła przebić się przez twardą powierzchnię. Zawrócił, zupełnie bez kłopotu. Tak, dla niego bariera przestała istnieć. Ale dlaczego wyróżniła jego, podczas gdy Hume wciąż był więźniem?

Łowca podniósł głowę, spojrzał na Vye'a wzrokiem, w którym krył się rozkaz.

- Idź, odejdz stąd, póki jeszcze możesz!

Vye usiadł ciężko obok niego.

- Dlaczego? - spytał bez ogródek.

I wtedy padła najbardziej oczywista ze wszystkich odpowiedzi.

Zerknął na Hume'a. Łowca wsparł głowę o skałę, miał zamknięte oczy.

Wyglądał jak człowiek doprowadzony na skraj wyczerpania, człowiek, który ma ochotę puścić uchwyt i skoczyć w przepaść.

Vye zdecydowanym ruchem ujął jego prawą rękę, zacisnął palce w pięść. I równie zdecydowanie uderzył nią prosto w bezbronny podbródek. Hume zwiotczał i zsunąłby się z powierzchni skały, gdyby Vye nie chwycił go pod pachami.

Ponieważ brakowało mu sił, żeby unieść taki ciężar, zaczął pełznąć, wlokąc za sobą znieruchomiałe ciało łowcy. I tak jak liczył, tym razem również nie napotkał oporu w przejściu. Pozbawiony przytomności Hume mógł przekroczyć barierę. Vye ułożył go na ziemi najwygodniej jak potrafił i oblał mu wodą twarz. Hume jęknął, coś wymamrotał i podniósł słabe dłonie do twarzy.

Szare oczy otworzyły się i spojrzały na Vye'a.

- Co...

- Obydwaj przeszliśmy, obydwaj! - Chłopak patrzył na łowcę; w oczach tamtego błyszczała nadzieja.

- Ale jak...?

- Znokautowałem cię, ot co - odparł Vye.

- Znokautowałeś mnie? Przeszedłem, bo byłem nieprzytomny! - Głos Hume'a uspokoił się, nabrał siły. - Daj mi to sprawdzić! Obrócił się na bok, wyciągnął rękę i

tym razem jego palce nie napotkały ściany. Bariera zniknęła również dla niego.

- Jak już raz przejdziesz, to jesteś wolny - dodał z niedowierzaniem. - Może nie przewidzieli, że ktoś może stąd uciec.

Podciągnął się z trudem i usiadł, zwieszając luźno dłonie. Vye obrócił głowę i spojrzał na ciągnący się przed nimi szlak. Nowy problem stanowiło pokonanie odległości dzielącej ich od obozu safari. Żaden z nich nie był w stanie przebyć tej drogi pieszo.

- Wyszliśmy, ale jeszcze nie doszliśmy.

Słowa Hume'a zabrzmiały niczym echo jego myśli.

- Zastanawiałem się, czy te drzwi są otwarte... - zaczął Vye.

- Kopter! - Hume wpadł chyba na ten sam pomysł. - Tak, jeśli kule nie czają się gdzieś tam na wypadek, gdybyśmy spróbowali.

- Może ich zadanie polegało na tym, by nas tutaj tylko doprowadzić, a nie pilnować. To mogły być pobożne życzenia, niemniej jednak trzeba było to sprawdzić. Nie istniało inne wyjście z matni.

- Podaj mi rękę. - Hume wyciągnął swoją i pozwolił, by Vye podniósł go z ziemi. Pomimo osłabienia, patrzył przytomnym wzrokiem i najwyraźniej znowu myślał logicznie. - Chodźmy!

Przeszli z powrotem przez otwór, potem jeszcze raz, aby się upewnić, że bariery naprawdę już nie ma. Hume roześmiał się.

- Przynajmniej frontowe drzwi nadal są otwarte, nawet jeśli tylne okazały się zamknięte.

Vye zostawił go przy wejściu, a sam poszedł szybko do jaskini, by przynieść plecak z zapasami. Kiedy wrócił, szybko wepchnęli tabletki do ust, popili wodą z jeziora i stymulowani świeżą energią ruszyli drogą biegnącą wzdłuż ściany zbrocza.

- Ten murek w jeziorze - odezwał się nagle Hume - jesteś pewien, że jest sztuczny?

- Biegnie zbyt prosto, a występy na nim są osadzone regularnie. Nie wiem, jakim cudem mógłby być naturalny.

- Trzeba to będzie sprawdzić.

Vye przypomniał sobie stworzenie, które zaatakowało go z wody.

- Tam nie można nurkować - zaprotestował.

Hume uśmiechnął się, skóra jego twarzy ciasno opinała szczękę.

- My nie, przynajmniej nie teraz - zgodził się. - Ale Gildia przyśle następnych

zwiadowców.

- Jaki może być powód tego wszystkiego? - Vye pomógł swemu towarzyszowi przejść przez luźny gruz leżący na zboczu.

- Informacja.

- Co?

- Ktoś, lub coś, przejął nasze mózgi, kiedy straciliśmy przytomność umysłu. Albo... - Hume zatrzymał się nagle, spojrzał prosto na Vye'a. - Ty sobie chyba tu dajesz radę znacznie lepiej niż ja. Nie wydaje ci się?

- Częściowo - przyznał Vye.

- To się sprawdza. Poniekąd wiedziałem, co się dzieje, ale byłem bezradny, kiedy to coś - jego uśmiech zupełnie zniknął, a w głosie pojawił się chłód - porwało mój mózg i wzięło z niego to, co chciało.

Vye pokręcił głową.

- Nie czułem czegoś takiego. Tylko ciężar w głowie, jakbym był pogrążony we śnie i jednocześnie nie spał.

- Więc to coś przejęło kontrolę nade mną, ale nie do końca nad tobą.

Dlaczego? Kolejne pytanie na naszej liście.

- Może, może technicy Wassa tak to urządzili, żeby nie można mi było porwać mózgu, jak to nazywasz - podsunął Vye.

Hume skinął głową.

- Mogło tak być, całkiem prawdopodobne. Idziemy.

Przyspieszył teraz kroku.

Vye odwrócił się, by czujnie spojrzeć w dół zbocza. Czyżby Hume odebrał kolejne ostrzeżenie o zagrożeniu z lasu? Nie widział tam żadnego ruchu. A z tej odległości jezioro wyglądało jak topazowa płachta spokoju, pod którą mogło kryć się wszystko. Hume wyprzedził go już o kilka kroków, prąc tak szybko, jakby znowu deptały im po piętach potwory z doliny.

- Co się stało? - spytał Vye, dogoniwszy go.

- Zapada noc. - Co było prawdą. Potem Hume dodał:

- Jeżeli uda nam się dotrzeć do koptera przed zachodem słońca, wówczas damy radę przelecieć nad tym jeziorem i sfilmować je jeszcze dzisiaj.

Energia uzyskana z tabletek wzmocniła ich, więc zanim dotarli do wejścia w rozpadlinie, poruszali się niemalże z dawną żywotnością. Przez sekundę Hume zawahał się przed szczeliną, prawie tak, jakby bał się testu, który i tak musiał przejść.

Potem zrobił krok do przodu i... znowu się udało.

Dotarli do skalnego występu, na którym spoczywał kopter, dokładnie w takim samym stanie, w jakim go zostawili. Nie dawało się określić, od jak dawna tu byli, musiały jednak minąć od tamtego czasu całe dni okryte mgłą. Vye zbadał wzrokiem niebo. Nie mrugały tam żadne kule - był tylko samotny biały kopter.

Zajął swoje dawne miejsce za siedzeniem pilota, patrzył, jak Hume sprawdza przyciski sterowania z wprawą człowieka, który wiele razy wcześniej wykonywał tę rutynową czynność. Skończył i cicho odetchnął z ulgą.

- W porządku, możemy startować.

Jak na komendę obydwaj spojrzeli w górę, bojąc się, że zobaczą tam złośliwych pasterzy, którzy znowu uniemożliwią im lot. Jednakże na pogodnym niebie nie było nawet chmurki. Hume nacisnął jakiś guzik i wzniesli się pionowo równym lotem, zupełnie innym niż ten skok, którym wyprysnęli z obozu Wassa.

Kopter zawisł w powietrzu wysoko ponad klifem. Mogli stamtąd ogarnąć wzrokiem okrągłą misę ich więzienia. Hume dotknął przycisków kontrolnych i kopter opuścił się powoli tuż nad środkiem jeziora. Uderzyła ich osobliwość tego zbiornika wody, jego idealnie owalny kształt, zbyt doskonały, by mógł być zwykłym wytworem natury. Hume wyjął okrągły dysk zza pasa, włożył go starannie do szczeliny w tablicy rozdzielczej i przycisnął znajdujący się niżej guzik. Kopter ruszył zygzakowatym lotem tuż nad powierzchnią wody, fotografując każdy skrawek jej powierzchni.

Z góry mogli bez przeszkód obserwować całe dno tajemniczej formacji tektonicznej. Mur skręcający pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, który Vye zauważył z brzegu, stanowił jedynie część zatopionej konstrukcji. Z lotu ptaka widać było, że jest to sześcioramienna gwiazda wpisana w owal. W jego środku zaś znajdowała się plama, której kształtu nie potrafili zidentyfikować.

Hume zatoczył kopterem ostatni krąg. - To tyle. Wszystko sfilmowaliśmy.

- Jak myślisz, co to jest?

- Urządzenie zbudowane tutaj przez jakieś inteligentne istoty i to dawno temu. Tej alei nie zbudowano w ciągu jednej nocy ani w ciągu sześciu miesięcy, ani nawet roku. Eksperti będą nam musieli powiedzieć, kiedy to wykonano i po co. A teraz lecimy do domu!

Wzbił się na wyższy pułap i poleciełi ponad ścianą doliny na południowy zachód, mijając po drodze otwór, który stanowił główne wejście do zasadzki. Posługując się przekaźnikiem, Hume usiłował odnaleźć sygnał kierunkowy.

- To dziwne. - Na tablicy kontrolnej Hume manipulował strzałką wykrywacza, przesuwając ją to w prawo, to lewo, ale w mikrofonie nie było słycać charakterystycznego szczęko kodu. - Być może jesteśmy zbyt daleko w górach, by złapać promień. Ciekawe... - Przesunął wskaźnik w drugą stronę, odrobinę w lewo.

Nareszcie - w mikrofonie rozległ się trzask. Vye nie potrafił odczytać kodu, ale siła tego dźwięku sugerowała panikę, a nawet śmiertelny strach.

- Co to jest?

Hume przemówił, nie odrywając wzroku od tablicy rozdzielczej.

- Alarm.

- Z obozu safari?

- Nie. To Wass.

Przez dłuższą chwilę Hume nic nie mówił, jego palce na przyciskach znieruchomiały. Kopter leciał automatycznym kursem, uwożąc ich z gór, daleko od złowieszczej doliny.

Hume przekręcił lekko tarczę i kopter zrobił zwrot, wchodząc na inny kurs. Raz jeszcze posłużył się wykrywaczem. Tym razem odpowiedziała mu seria jednostajnych szczęknięć, w których nie słycać było alarmu tamtego sygnału. Hume wsłuchiwał się tak długo, dopóki kod nie umilkł.

- W obozie safari nic się nie dzieje.

- Ale Wass ma kłopoty. Jakie może to mieć dla nas znaczenie? - dopytywał się Vye.

- Takie - Hume mówił bardzo wolno, jakby musiał przekonywać nie tylko Vye'a, lecz również samego siebie - że ja jestem człowiekiem Gildii na Jumali, a człowiek Gildii jest odpowiedzialny za wszystkich ludzi.

- Nie możesz go nazywać swoim klientem!

Hume pokręcił głową.

- Nie, on nie jest klientem. Ale jest człowiekiem.

Sprowadzało się to do tego, że wszyscy ludzie na światach pogranicza musieli trzymać się razem. Vye pragnął temu zaprzeczyć, ale pokonało go własne sumienie, a także tradycja wielu stuleci. Wass był VIP-em, jednym z przestępczych pasożytów żerujących na ludzkim nieszczęściu na niejednym słonecznym szlaku, lecz był też człowiekiem i miał swoje prawa.

Vye przypatrywał się, jak Hume ujmuje stery, i czuł, że kopter reaguje na kolejną zmianę kursu. Chwilę później usłyszał dramatyczne szczęknięcie alarmowego

wezwania, gdy skierowali się do ukrytego obozu.

- Automatyczny. - Hume wyłączył głośnik odbiornika, szczęki w mikrofonie zamilkły. - Ustaw na maksimum i tak zostaw.

- Otoczyli obóz barierą siłową, ponadto wiedzieli o kulach i obserwatorach. - Vye usiłował sobie wyobrazić, co mogło stać się na leśnej polanie.

- Bariera mogła nie wytrzymać, a bez koptera nie mieli jak uciec.

- Mogli odlecieć statkiem.

- Wass ma opinię człowieka, który nigdy nie rezygnuje z żadnego przedsięwzięcia.

Vye przypomniał sobie.

- No tak, wasza umowa o miliard kredytek.

Ku jego zdziwieniu Hume roześmiał się.

- To wszystko wydaje się bardzo teraz odległe, jak kometa na trajektorii ucieczki, nieprawdaż, Lansor? Tak, mieliśmy umowę o miliard kredytek, ale kiedy ją zawieraliśmy, nie wiedzieliśmy, że przy stole siedzi więcej graczy. Zastanawiam się...

Nie powiedział jednak, nad czym się zastanawia, a chwilę później rzucił przez ramię:

- Lepiej odpocznij, chłopcze. Mamy trochę czasu przed lądowaniem.

I Vye rzeczywiście zasnął, głęboko, bez snów. A kiedy obudziło go delikatne szarpnięcie, zobaczył przed sobą na niebie świetlistą smugę, rozcinającą nieprzenikniony nocny mrok.

- To ostrzeżenie - wyjaśnił Hume. - Nie mogę przechwycić żadnej odpowiedzi z obozu, z wyjątkiem tego wołania o ratunek. Jeśli teraz tam ktoś jest, to albo nie może, albo nie chce odpowiedzieć.

Na tle jarzącej się łuny widzieli sterczący w niebo stożek statku. Pilot automatyczny posadził ich tuż obok, pośrodku pola rzęsiście oświetlonego atomową lampą, stojącą na trójnogu tak samo, jak tamtej nocy, gdy uciekli z tego obozu.

Zupełnie zeszywniali wysiedli z ciasnego koptera i podeszli ostrożnie do statku. Po kilku minutach Hume schował promiennik.

- Jeśli nie schowali się w środku, a nie widzę powodu, dla którego mieliby to zrobić, to nie ma tu nikogo. Nie zabrali z sobą żadnego sprzętu, z wyjątkiem kilku przedmiotów, które mogli przenieść na własnym grzbiecie.

Wnętrze statku okazało się równie wyludnione jak całe obozowisko. Siedzenie

przy ścianie wyciągnięto zbyt pośpiesznie, więc było przekrzywione, stan kabiny przekaźnikowej wskazywał, że odejście załogi, nie wiadomo kiedy i dlaczego, było spowodowane jakimś niebezpieczeństwem. Hume nie wyłączył automatu, więc nadal radiostacja nadawała wołanie o pomoc.

- Co teraz? - spytał Vye, kiedy skończyli poszukiwania.

- Najpierw obóz safari i kontakt z Patrolem.

- Zastanów się. - Vye postawił przed sobą pojemnik z racjami i opróżnił go z zadowoleniem człowieka, który od dawna żywił się tabletkami. - Jeśli wezwiesz Patrol, to będziesz musiał mówić, prawda?

Hume załadował promiennik świeżym magazynkiem.

- Patrol musi otrzymać pełen raport. Nie ma sposobu, aby to ominąć. Tak, będziemy musieli wszystko opowiedzieć. Nie masz się czym przejmować. - Zamknął z trzaskiem komorę.

- Wytlumaczę cię. Jesteś ofiarą, pamiętaj.

- Nie o tym myślałem.

- O rany! - Hume podrzucił promiennik w górę i złapał go plastą-dłonią. - Wszedłem w ten układ z szeroko otwartymi oczyma. Teraz nie ma znaczenia, dlaczego. Prawdę powiedziawszy - zapatrzył się ponad głową Vye'a na opustoszały, oświetlony obóz - zacząłem się zastanawiać nad wieloma rzeczami... może zbyt późno. Nie, wezwiemy Patrol i to nie dlatego, że tu jest Wass i jego ludzie, ale dlatego, że my jesteśmy ludźmi i oni są ludźmi, a tu jest jakaś ohydna pułapka, która właśnie wciągnęła innych ludzi w swe paskudne trzewia. Szkielet w dolinie! Jakże blisko oni sami byli od podpisania wieczystej umowy na najem kwater sąsiadujących z lokum tego nieszczęśnika.

- Teraz wrócimy do obozu safari. Prześlemy wiadomość Patrolowi, potem postaramy się odnaleźć Wassa i zobaczymy, co da się zrobić. Jumala znajduje się poza regularnymi szlakami. Patrol nie doleci tu przed wschodem słońca, niezależnie od tego, jak cudownie byśmy ćwierkali, chcąc go tu zwabić.

Vye milcząc wsiadł ponownie do koptera. Tak jak przewidział Hume, wydarzenia przybrały szybki obrót. Jeszcze jakiś czas temu pragnął rozliczyć się z Poszukiwaczem Ścieżek, domagać się od niego nie tylko wytłumaczenia swego pobytu na planecie, lecz uzyskać satysfakcję za upokorzenia służby cudzym celom. Teraz pragnął pokonać Wassa, sprowadzić Patrol, dowiedzieć się, co kryje dno jeziora, sprawić, by Hume nie trafił za kratki. Nie potrafił jednak zrozumieć, dlaczego

tak myśli.

Podczas startu z porzuconego obozu Wassa obydwaj milczeli. Gdy kopter leciał, ślizgając się nad ciemną plamą obcego lasu, niebo rozbłyskiwało pierwszymi gwiazdami. Kule nie pojawiły się. Od czasu, gdy wyszli z doliny, nie spotkali żadnych śladów działalności obcych.

Jednakże świetlne punkty były tam, choć nie atakowały koptera, ani też nie ustawiły się wzdłuż linii jego lotu. Kiedy o brzasku kopter wyleciał z lasów i skierował się w stronę obozu safari, przed jego dziobem majaczyła jaskrawa luna. Korona światel otaczała obozowisko. Ci na dole byli oblężeni!

Hume leciał prosto na obcych. Tym razem rozkołysany krąg rozerwał się, rozstępując na boki. Vye spojrział w dół. Pomimo szarości poranka nie mógł przeoczyć zgarbionych kształtów porostawianych w równych odstępach po całym terenie, tuż za niewidzialną linią bariery siłowej. Obóz safari był dobrze strzeżony - od góry przez światła, w dole przez ohydne bestie.

- Mogą podążać tylko jedną drogą, w stronę gór. - Hume stał na otwartej przestrzeni wśród namiotów, w otoczeniu czterech towarzyszy z obozu. - Mówicie, że minęło siedem dni czasu planetarnego, odkąd zniknąłem. Oni mogli więc wyruszyć całe pięć dni temu. Jeśli to możliwe, musimy ich zatrzymać, zanim dotrą do doliny.

- Fantastyczna opowieść. - Chambriss miał obrażoną minę, jak człowiek, któremu ktoś śmiało zbrukać duszę buciorami cudzych zmartwień. Po chwili, spotykając wzrok Hume'a, dodał pojednawczym tonem: - Co nie znaczy, że ci nie wierzymy, łowco. Te tępe stwory, czekające poza granicami obozu, stanowią wystarczający dowód prawdziwości twych słów. Jednakże, jak sam dałeś do zrozumienia, Wass jest wyjętym spod prawa VIP-em, który przybył potajemnie na tę planetę w celu realizacji swych niecznych celów. Z pewnością nie mamy powodu, by dla niego ryzykować własne życie. Czy jesteś pewien, że jemu istotnie coś grozi? Przecież jak sam mówiłeś, udało wam się razem uciec z pułapki.

- Był to splot szczęśliwych wypadków, który może już nigdy się nie powtórzyć - tłumaczył Hume z anielską niemalże cierpliwością.

Żaden z pograżonych w dyskusji nie zauważył, że z twarzy Rovalda zniknął wyraz podejrzanego zamyślenia, w którym tkwił od dobrych kilku minut. Człowiek Wassa zupełnie nagle zdjął z ramienia promiennik i wycelował go w taki sposób, jakby miał zamiar skosić ich wszystkich jedną długą serią.

- No dobra, teraz kończ już z tą gadaniną. Idziesz szukać VIP-a!

- Zrobię to, tylko najpierw wezwę Patrol. Rovald mierzył prosto w pierś Hume'a.

- Ani mi się waź! - rozkazał.

- Dość już tego! - Z zaskoczeniem usłyszeli władczy głos Yactisiego. Gdy spojrzeli w jego stronę, okazało się, że zdążył już nawet przystąpić do działania.

Rovald krzyknął coś głośno, a broń wypadła z jego gwałtownie czerwieniejących palców. Yactisi skinął głową z zadowoleniem i wyciągnął swój elektryczny harpun, przygotowany do następnego strzału. Vye pochylił się i zatrzymał stopą toczący się po ziemi promiennik.

- Najpierw zawiadomię Patrol, potem postaram się odnaleźć Wassę - oświadczył Hume.

- Sensowna kolejność - pochwalił Yactisi swym cierpkim głosem. - Czy sądzisz, że dasz sobie radę z siłami, którymi wysługują się obcy?

- Tak mi się zdaje.

- To w takim razie musisz spełnić swą misję.

- Dlaczego? - Chambriss sprzeciwił się po raz kolejny.

- A jeżeli mu się nie powiedzie i znowu go schwytają? Jest naszym pilotem, chcesz, żebyśmy zostali na tej planecie na zawsze?

- Ten człowiek także jest pilotem. - Starns wskazał Rovalda, który rozcierał obolałą dłoń.

- Przecież to kryminalista, któremu nie można ufać! - wypalił Chambriss. - Łowco, żądam, żebyś nas natychmiast zabrał z tej planety! I będę tak wspaniałomyślny, że z góry poinformuję cię o zamiarze wystąpienia z oskarżeniem przeciwko tobie i Gildii. Nie zamieszkań świat! Dużo jeszcze takich znacie?

- Ależ szlachetny panie - głos Starnsa nie zdradzał żadnych emocji, a tylko żywą ciekawość - pobyt tutaj w tej chwili jest przywilejem, na jaki nie mogliśmy liczyć nawet w najśmielszych marzeniach! Przekazy satelitarne pełne będą naszych opowieści.

Co to ma wspólnego ze sprawą - zastanawiał się Vye. Widział jednak, że replika Starnsa spowodowała błyskawiczną zmianę nastawienia Chambrissa.

- Przekazy satelitarne... - powtórzył, a jego gniew ewidentnie uległ rozproszeniu. - No tak, rzeczywiście, to historyczna chwila. Jesteśmy w wyjątkowej sytuacji!

Czy Yactisi się uśmiechnął? Zmiana w linii tych bladych warg była tak nieznaczna, że Vye nie mógł jej nazwać uśmiechem. Starns wyraźnie znalazł właściwą metodę postępowania z Chambrissem, a na dodatek wyraźnie miał ochotę okazać się pomocny w znacznie ważniejszej dla nich sprawie, bo powiedział nieśmiało do Hume'a:

- Mam nieco doświadczenia w posługiwaniu się przekaźnikami, łowco. Czy zyczysz sobie, bym przesłał twoją wiadomość i przejął kontrolę nad urządzeniem do czasu twego powrotu? Zdaje mi się - dodał skromnie - że bezsensowne byłoby obciążanie tym zajęciem twojego pomocnika.

Tak więc Starns zasiadł w kabinie przekaźnikowej statku i zabrał się do nawiązywania kontaktu z Patrolem, natomiast Rovald, zamknięty w pomieszczeniu magazynowym, miał czekać na przybycie władz. Gdy Hume gromadził już sprzęt, a

Vye pakował go do stojącego w pogotowiu koptera, podszedł do nich Yactisi.

- Czy opracowałeś plan poszukiwań? - zwrócił się do Hume'a.

- Polecimy na północ od ich obozowiska. Jeżeli doszli już do gór, wówczas postaramy się odnaleźć ich podczas wspinaczki na zbocza. Jeżeli tam ich nie będzie, polecimy do doliny i tam na nich zaczekamy.

- Czy sądzisz, że oni też zostaną schwytani i poddani... przetworzeniu?

Hume pokręcił głową.

- Nie wierzę, że my bylibyśmy wolni, szlachetny panie, gdyby nie seria szczęśliwych wypadków.

- Tak, ale nie podałeś nam zbyt wielu szczegółów, łowco.

Hume odłożył pistolet strzałkowy, który właśnie ładował, i spojrzał uważnie na Yactisi.

- Kim jesteś? - spytał spokojnym głosem, w którym czaiła się ostra nuta.

Vye po raz pierwszy zobaczył szczery uśmiech na twarzy wysokiego, szczupłego klienta Gildii.

- Człowiekiem mającym udział w licznych interesach, łowco. Proponuję jednak nie poruszać na razie tego tematu. Zapewniam cię, że moje związki z Wassem nie są takie, jakimi mogą ci się wydawać.

Dwie pary oczu, jedno szare, drugie brązowe, mierzyły się nawzajem przez chwilę. Przemówił Hume:

- Wierzę ci. I pamiętaj, że wszystko to, co powiedziałem, jest prawdą.

- Nigdy w to nie wątpiłem, chodzi mi tylko o dokładniejsze dane. Liczę, że porozmawiamy po waszym powrocie.

- I mnie do tego pilno.

Hume schował pistolet do koptera. Yactisi jeszcze raz się uśmiechnął, tym razem również do Vye'a, jakby go chciał zapewnić o swych czystych intencjach, i odszedł.

Hume nie komentował rozmowy.

- Załatwione - powiedział do swego towarzysza. - Nadal chcesz lecieć?

- Jeśli się zgadzasz. Zresztą sam sobie nie poradzisz. Żaden człowiek nie mógłby w pojedynkę zmierzyć się z doliną, Wassem i jego ludźmi.

Hume nie odpowiedział. Po powrocie do obozu chwilę odpoczywali. Vye dostał ubranie Hume'a i wyglądał teraz jak łowca Gildii. Uzbroidł się też w pas Rovalda, jego pistolet strzałkowy i promiennik. Wyruszyli na swoją ryzykowną

eskapadę wyposażeni we wszelkie środki obronne, jakie były w obozie.

Dopiero po południu kopter ponownie wzbił się w górę, rozpędzając krążące w jednym miejscu kule. W szeregach niebieskich obserwatorów nie zaszły żadne zmiany. Dalej nie było wiadomo, na co czekają - na wyłączenie bariery siłowej? Na to, że ktoś z obozu odważy się wyjść poza tę niewidzialną przeszkodę?

- Wyjątkowo głupie stworzenia - stwierdził Vye.

- Nie są głupie, tylko zaprogramowane na określony typ działania - odparł Hume.

- Co z kolei oznacza, że to, co je tu przysyła, nie potrafi zmienić własnych rozkazów.

- Chyba masz rację. Twierdziłbym, że rządzi nimi coś pokrewnego do naszych nagrywanych dyrektyw. Żadnego zastrzeżenia na wypadek konieczności wprowadzenia zmian.

- Czyli że kierujące nimi, wyposażone w inteligencję siły mogły zniknąć stąd dawno temu.

- Podzielam twoje zdanie. Jak to się stało, że trafiłeś do „Roju Gwiazd”? - zmienił nagle temat Hume.

Vye Lansor, który kiedyś był zwykłym posługaczem w najgorszej speluncie portowej, stwierdził, że jest mu bardzo trudno wrócić myślami na Nahuatl; czuł się obecnie, jak ktoś zupełnie inny. Odpowiedź odnalazł w wyjątkowo zagmatwanej płątaniu wspomnień, co jakiś czas dodatkowo nawiedzanej przez sztuczną osobowość Ryncha Brodie.

- Nie potrafiłem się utrzymać na państwowej posiadzie. A kiedy człowiek raz już się nabawi nałogu jedzenia, to nie potrafi dobrowolnie głodować.

- Dlaczego nie dałeś sobie rady na państwowej posiadzie?

- Nigdy nie potrafiłem wyjść poza najniższy szczebel hierarchii, choć tak bardzo się starałem. Całymi godzinami naciskałem guziczki przy błyskających światełkach... - Vye pokręcił głową. - Stwierdzili, że robię za wiele pomyłek i wyrzucili mnie. Jeszcze jedno przeniesienie i zostałbym poddany przymusowemu warunkowaniu. Dlatego wybrałem „Rój Gwiazd”.

- Myślałeś kiedykolwiek o pożyczce pod polisę ubezpieczeniową na życie? Vye roześmiał się.

- Pożyczka? O tym można tylko marzyć, jeśli się stale zmienia pracę. Żadne z towarzystw ubezpieczeniowych nie pójdzie na ryzyko udzielenia pożyczki

człowiekowi, który ma tak długi rejestr zatrudnień i zwolnień. Żebyś wiedział, jak ja się starałem... - Wszystkie fakty z jego życia skuł lód tego najgorszego wspomnienia. Naprawdę próbował wyrwać się z matni, w jaką schwytały go prawo i obyczaj, kiedy uznano go za sierotę, żyjącego na koszt państwa. - Czekają mnie albo warunkowanie, albo upadek na samo dno w zaułkach portu.

- I wybrałeś upadek?

- Chciałem być sobą. I dlatego musiałem uniknąć warunkowania.

- Ale ostatecznie stałeś się Rynchem Brodie.

- Co ty mówisz?... No może na jakiś czas. Ale przecież znowu jestem Vyem Lansorem.

- Teraz tak. I nie myśl, że będziesz musiał zaciągać pożyczkę, żeby zaczynać od nowa. Wiesz, że możesz się domagać odszkodowania za to, co cię tu spotkało.

Vye chciał milczeć, ale Hume mu na to nie pozwalał.

- Będziesz mógł przedstawić swoją sprawę Patrolowi. Ja cię poprę.

- Nie możesz.

- I tu się właśnie mylisz - powiedział szorstkim głosem Hume. - Na statku nagrałem całą historię, jest już w archiwum. Vye zmarszczył czoło. Łowca najwyraźniej sam się pchał w niezbyt czułe objęcia Patrolu albo planetarnej policji Nahua jakby zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że nielegalne waru kowanie jest uważane za jedno z najpoważniejszych przestępstw

Trasa ich lotu mieściła się w obszarze trójkąta wytyczonego przez trzy punkty: górską dolinę, obóz Wassa i siedzibę safari. Lecieli w stronę zboczy, na które bestie najprawdopodobniej zagnały ludzi. Bacznie obserwujący leśne połacie Vye zaczął wątpić, czy uda się ich wypatrzeć, zanim dotrą do doliny.

Hume leciał kursem wahadłowym, kierując się to w prawo, to w lewo; obydwaj czekali z napięciem na błysk jakiegś kuli albo ruch zdradzający ludzką obecność. Wreszcie po jakimś czasie, w trakcie mijania jednego ze szczytów, zauważyli znajome sylwetki dwóch niebieskich bestii. Wędrowały ociężałym krokiem, nie zwracając najmniejszej uwagi na kopter, zaabsorbowane wyłącznie celem swojej misji.

- Może to koniec stada - skomentował Hume.

Kopter zaczął krążyć nad linią karłowatych drzew i krzewów. Dalej były już tylko nagie skały. Unosili się przez kilka dobrych chwil, ale nie wypatrzyli żadnego ruchu na otwartej przestrzeni.

- Chyba zły trop.

Hume zatoczył krąg. Od dłuższego czasu sterował ręcznie, dzięki czemu maszyna szybko reagowała na zmiany jego decyzji.

Poznali odpowiedź, gdy zatoczyli szerszy krąg - w zbitej barierze roślinności pojawił się skalny korytarz, biegnący w stronę wyżyn, nieco podobny do rozpadliny, przez którą szli parę dni temu. Hume obniżył pułap lotu i przeleciał tuż nad nim. Gdyby jednak poszukiwani przez nich ludzie zdecydowali się iść właśnie tą drogą, to z góry i tak nie byłoby w stanie ich wypatrzeć. Gdy zapadł wieczór, Hume zmuszony był przyznać się do porażki.

- Będziemy czekać przy wejściu? - spytał Vye.

- Na razie musimy. - Hume rozejrzał się dookoła. - Myślę, że pojawią się tutaj dopiero późnym rankiem, jeśli w ogóle są w tej okolicy. Mamy mnóstwo czasu.

Czasu na co? Na przygotowania do zażartej walki z Wassem albo z goniącymi go bestiami? Na próbę rozwiązania tajemnicy jeziora?

- Czy sądzisz, że potrafilibyśmy wysadzić w powietrze tę konstrukcję na dnie jeziora? - spytał Vye.

- Prawdopodobnie tak. Ale to rozwiązanie ostateczne. Wszystko powinno pozostać w nie zmienionym stanie, żeby specjaliści od obcych cywilizacji mogli wszystko zbadać. Nie, zastanówmy się raczej, jak zatrzymać Wassę przy wejściu do doliny do czasu przybycia Patrolu.

W niecałą godzinę później Hume wylądował zręcznie na szczycie jednego ze zboczy, które tworzyły jakby portal nad wejściem do doliny. W krajobrazie pod nimi nie zaszły żadne zmiany, tyle że z ciał dwóch niebieskich bestii zostały teraz tylko nagie, połyskujące kości.

Słońce zachodziło już za szczytami, a z lasów otaczających jezioro powoli wylewała się plama mroku niczym zwiastun nadchodzącego zła. Noc zapadała tu wcześniej niż na równinach.

- Spójrz tam! - Vye patrzył w dół na rozpadlinę; on pierwszy zauważył poruszenie w maskującym ją krzaku.

Zza skały drobnymi krokami wybiegło czworonożne rogate zwierzę, którego nigdy dotąd nie widział.

- To jelen sika - powiedział Hume. - Ale skąd się wziął w tych górach? Jego rodzinne strony są zupełnie gdzie indziej.

Jeleń nie zatrzymał się, biegł prosto do wyrwy. Kiedy zbliżył się, Vye

dostrzegł, że jego brązowa sierść jest pokryta plamami piany, ściekającej z bladoróżowego jezora zwisającego z otwartej paszczy. Zapadnięte boki zwierzęcia ciężko falowały.

- Też go tu zapędzono! - Hume podniósł kamień i cisnął go tuż pod nogi jelenia.

Stworzenie nie przestraszyło się, nawet nie dało po sobie poznać, że zauważyło pocisk, i dreptało dalej tym samym zmęczonym krokiem. Potem minęło skalny portal wiodący do doliny, stanęło nieruchomo, unosząc trójkątny łeb i wystawiając czarne rogi, rozděło chrapy, wachając powietrze, a po chwili pogalopowało w stronę jeziora i zniknęło w lesie.

Czuwali na zmianę przez całą noc, ale nie zauważyli żadnych śladów życia. Jeleń także więcej się nie pojawił. Dopiero nad ranem poderwał ich przerażający dźwięk - dziki krzyk, z całą pewnością wydany przez ludzkie gardło. Hume rzucił w stronę Vye'a jeden z pistoletów strzałkowych i obydwaj wysiedli z koptera.

Wass szedł za staniającą się trójką swych ludzi, jakby był kierowca jadącym za szeregiem innych pojazdów. Mimo że tamci chwiali się i potykali, wyraźnie doprowadzeni na skraj wyczerpania, on sam kroczył pewnie, doskonale opanowany, bez śladu strachu, na moment nie dając im zapomnieć, kto tu rządzi

Z twarzy mężczyzny, który dotarł do nich jako pierwszy ściekała cienka strużka krwi.

- Wass! - zawołał Hume.

VIP zatrzymał się w pół kroku. Nie zdjął z ramienia pistoletu, którego lufa wycelowana była w niebo, tylko obrócił nieznacznie swą okrągłą głowę, ozdobioną sterczącym grzebieniem włosów.

- Zatrzymaj się, Wass! To pułapka!

Trzej mężczyźni nie przestawali iść przed siebie. Vye wyszedł z kryjących go cieni i w ostatniej chwili podtrzymał idącego na czele grupy, omdlewającego Peake'a.

- Vye! - W głosie Hume'a zabrzmiało ostrzeżenie.

Zdążył jeszcze podnieść wzrok. Wass, którego twarz, z wyjątkiem oczu - oczu płonących szaleństwem - była pozbawiona wszelkiego wyrazu, wycelował w niego promiennik.

Pozbawiony oparcia Peake runął w prawo, prosto na Hume'a. Upadając, Vye zobaczył pędzącego naprzód Wassa, z prędkością doprawdy zadziwiajączą jak na człowieka, który miał za sobą wyczerpujący marsz. VIP uchylił się, unikając strzałki,

której łowca nie zdążył dokładnie wycelować, przetoczył się i poderwał na równe nogi z pistoletem Vye'a w dłoni. W następnej chwili lufą broni zadał miażdżący cios szamoczącemu się w uścisku Peake'a Hume'owi. Łowca wydał z siebie okrzyk i padł plecami na ścianę zbocza; z jego skroni wytrysnął strumień szkarłatnej krwi.

Wass nie przestawał szarżować, ani na sekundę nie tracąc rozpędu. Runął prosto na pozostałych ludzi i Vye zdążył jeszcze zobaczyć, jak wszyscy czterej tłoczą się na jednym skrawku ziemi i zlani w chaotyczną masę młócących rąk i nóg przetaczają się prosto do doliny. Wszystko to przy akompaniamencie chrapliwych, bezsłownych okrzyków Wassa, odbijających się echem od górskich szczytów.

Leżał nieruchomo pod jakąś skałą. Dookoła na powrót panowała cisza, przerywana jedynie niskim skowytom, który ranił uszy i wzmagał palący ból w boku. Vye obrócił głowę, poczuł zapach zwęglonej tkaniny i spalonego ludzkiego ciała. Ostrożnie próbował się poruszyć, zbadać swoje ciało dłonią. Jedyne niewielka część jego umysłu pozostała jasna - jeżeli uda mu się dosięgnąć palcami przytroczonego pakietu, a jego zawartość donieść do ust, to ból ustanie i może znów ogarnie go kojący mrok.

Jakoś mu się udało, wyciągnął pakiet z pochewki przy pasie i tak długo manipulował palcami sprawnej ręki, aż wreszcie zdołał rozerwać opakowanie. Tabletki wysypały się z omdlałej dłoni, ale w ostatniej chwili zdążył schwycić trzy albo cztery. Z najwyższym trudem podniósł dłoń do ust, przeżuł gorycz i jakoś przełknął.

Woda - jezioro! Na moment powrócił do terażniejszości, szukając po omacku bukłaków. Jęknął głośno, bo nieostrożny ruch palców wywołał nagłe ukłucie palącego, śmiertelnego bólu.

Tabletki zaczynały działać. Nie stracił na powrót przytomności, a cierpienie stało się czymś odległym i mało dokuczliwym. Po chwili uchwycił występ skalnej ściany i usiadł.

Promienie słońca odbiły się od metalowej lufy pistoletu strzałkowego, leżącego w pyłe stratowanej ziemi. Nieco dalej spoczywało czyjeś nieruchome ciało, z głową zanurzoną w kałuży krwi. Vye czekał chwilę, aż uspokoi mu się oddech, po czym wyruszył w nieskończenie długą drogę dzielącą go od nieprzytomnego Hume'a.

Dyszał ciężko, gdy podpełzł wreszcie wystarczająco blisko, by móc dotknąć łowcy. Twarz Hume'a, zagrzebana częściowo w przemokłym piachu, była umazana zakrzepłą krwią. Uniesiona z trudem głowa łowcy zwisała bezwładnie. Jeden z policzków pokrywała gruba warstwa krwi zmieszanej z pyłem; nie można było stwierdzić, jak głęboka jest rana Hume'a. Wciąż jednak żył.

Pomagając sobie zdrową dłonią, wepchnął zdrętwiącą i bezużyteczną lewą rękę za pas. Potem niezdarnie usiłował opatrzeć swego nieprzytomnego towarzysza. Obejrzał go dokładniej i stwierdził, że prawie cała krew pochodzi z poszarpanej rany nad skronią. Na szczęście kość była nietknięta. Wyjął tabletki z apteczki Hume'a i

rozkruszywszy je, wsunął do zmartwiałych ust łowcy, mając nadzieję, że same się rozpuszczą. Potem oparł się o ścianę zbocza i zaczął czekać - nie bardzo wiedząc, na co.

Grupa Wassa zniknęła w dolinie. Gdy obrócił głowę i ogarnął wzrokiem dolne partie zboczy, nie udało mu się dojrzeć żadnego z nich. Najprawdopodobniej zamierzali dotrzeć do jeziora. Kopter znajdował się na szczycie góry, równie nieosiągalny jakby orbitował wokół planety. Mógł liczyć tylko na nadejście grupy ratowniczej z obozu safari. Tuż przed lądowaniem Hume włączył sygnalizator w kopterze, znak dla Patrolu, na wypadek gdyby Starnsowi udało się skontaktować z krążownikiem.

- Mmmm... - Wargi Hume'a drgnęły, w masce zaschniętej krwi pokrywającej jego usta i brodę pojawiły się pęknięcia. Otworzył oczy i wznosił błędny wzrok ku niebu.

- Hume? - Vye był zdziwiony słysząc własny głos, cienki i słaby, z trudem dobywający się z krtani.

Łowca obrócił głowę. W jego wzroku, utkwionym teraz w chłopcu, zamigotała iskierka świadomości.

- Wass? - Tak samo jak Vye mówił ledwie słyszalnym szeptem.

- Poszedł tam. - Vye uniósł dłoń z piersi Hume'a, wskazując dolinę.

- Niedobrze. - Hume zamrugał. - Jak z tobą?

Nie interesował się własnymi obrażeniami; spojrział zatroskanym wzrokiem na Vye'a. Chłopiec popatrzył na swój poparzony bok. Jakimś cudem, być może dlatego, że akurat bił się z Peake'em, strumień energii z promiennika Wassa nie ranił go śmiertelnie, przechodząc pod ramieniem i osmalając skórę na boku. Nie wiedział i wcale nie chciał wiedzieć, jak poważne jest oparzenie. Wystarczyło, że tabletki zniwelowały ból.

- Jestem trochę poparzony - przyzna!. - A ty masz mocno rozciętą głowę.

Hume zmarszczył brwi.

- Czy damy radę dotrzeć do koptera?

Vye próbował się podnieść, ale prędko opadł.

- Nie teraz - powiedział wymijająco wiedząc, że żaden z nich nie jest w stanie podjąć się takiej wspinaczki.

- Sygnalizator nadal działa? - Hume powtórzył wcześniejsze myśli Vye'a. - Patrol jest już chyba w drodze?

Tak, Patrol w końcu przybędzie - tylko kiedy? Za kilka godzin, dni? Czas był ich wrogiem. Nie musiał nic mówić, łowca też to wiedział.

- Pistolet...

Hume obrócił głowę i drżącą dłonią wskazał przysypaną pyłem broń.

- Oni nie wrócą.

Vye wypowiedział na głos to, co było oczywiste. Ludzie Wassa zostali złapani w pułapkę; prawdopodobieństwo wydostania się bez pomocy z zewnątrz było niewielkie.

- Pistolet! - powtórzył Hume bardziej stanowczym głosem i usiłował usiąść, ale natychmiast osunął się z powrotem, wydając głośny jęk bólu.

Vye przesunął się ostrożnie, wyciągnął nogę i zaczepił stopę o pas pistoletu, przysuwając go do siebie. Kiedy kładł broń na kolanie, usłyszał głos Hume'a:

- Uważaj!

- Oni tam weszli - zaprotestował Vye.

Hume jednak zamknął znowu oczy.

- Trzeba uważać... może...

Zawiesił głos.

Vye wsparł dłoń na kolbie pistoletu.

- Huuuuuu!

Ryk bestii - taki sam słyszeli w dolinie! Rozbrzmiewał gdzieś w lesie. Vye podniósł pistolet i wycelował go w tamtym kierunku. Po okolicy grasowała śmierć, rozpoczynając swe krwawe łowy, a on był zupełnie bezsilny.

W echo wycia wbił się nagle przeraźliwy krzyk torturowanego człowieka. Vye dostrzegł gwałtowne dygotanie zarośli. W oddali na otwartą przestrzeń wypełzła na czworakach jakaś postać, zatrzymała się i osunęła na mech, nieruchomiejąc na nim jak ciemna plama. Znowu rozległ się ryk bestii, a zaraz potem ludzki krzyk!

Vye wyłowił wzrokiem drugiego mężczyznę, który szedł tyłem pomiędzy drzewami, cofając się przed jakimś ścigającym go stworzeniem. Dostrzegł odbłysek słońca od jakiegoś metalowego przedmiotu, prawdopodobnie promiennika. Liście skurczyły się i zwęgliły, tworząc czarny otwór, wzdłuż linii strzału uniosły się kłęby dymu. Mężczyzna nie przestawał się cofać, minął nieruchome ciało swego towarzysza, spoglądając co jakiś czas przez ramię na zbocze, po którym mozolnie, lecz uparcie się wspinał. Przestał już ostrzeliwać zarośla, ale brzegi wypalonego przez niego otworu otaczał wieniec trzaskających płomyków ognia.

Dwa kroki w tył, trzy. Obrócił się, strzelił, znowu obejrzał się dookoła, znowu pokonał kilka jardów otwartej przestrzeni. Vye już widział, że ten człowiek to Wass.

Następny strzał, kolejny obrót. I znowu wpadł prosto w objęcia niebezpieczeństwa. Grupa składała się z trzech stworzeń, równie monstrualnych jak tamte, z którymi Vye i Hume walczyli w tym samym miejscu. Jedno z nich było ranne, machało upaloną łapą i dziko porykiwało.

Wass wycelował promiennik w pierś bestii stojącej najbliżej niego. Nacisnął przycisk i omal nie zapłacił życiem za sekundę zwłoki, ponieważ stworzenie wykonało jeden z tych błyskawicznych skoków, przed którym Vye'owi udało się jakimś cudem uciec. Szponiasta łapa rozdarła rękaw tuniki Wass, znacząc w ramieniu krwawe bruzdy. Mężczyzna cisnął bezużyteczny promiennik w pysk bestii i rzucił się do panicznej ucieczki w stronę wyjścia z doliny.

Vye ułożył pistolet na kolanie i strzelił. Bestia zatrzymała się, wyrwała zatrutą drzazgę, która utkwiała w jej potężnym ramieniu i zmiażdżyła ją jednym uściskiem kosmatej łapy. Vye nie przestawał strzelać, niepewny, czy dobrze celuje, widział jednak, jak strzałki trafiają w grube odnóża, wyciągnięte do przodu górne kończyny, w szerokie, rozkołysane brzuchy. Po chwili na zboczu leżały trzy niebieskie kształty, mężczyzna wciąż biegł w stronę wyjścia z doliny.

Wass uderzył z pełnym rozpędem w niewidzialną barierę, odbił się i wylądował na darni. VIP krzyknął, podniósł się błyskawicznie i podpełzł do wyjścia, nie wierząc w to, co się stało. Vye zamknął oczy. Był bardzo zmęczony - zmęczony i śpiący - być może pod wpływem działania tabletek przeciwbólowych. Wciąż jednak słyszał odgłosy walki Wass z niewidoczną barierą. VIP rzucał się na nią, najpierw z gniewem i strachem, potem już tylko ze strachem. Po dłuższym czasie poddał się i zaniósł bezradnym, rozpaczliwym łkaniem.

- Mamy tu nagrany raport Rasa Hume'a, Poszukiwacza Ścieżek Gildii.

Vye wpatrywał się w stojącego przed nim oficera, ubranego w czarno-srebrny uniform Patrolu. Na piersi mężczyzny pyszniło się oko, chłodne i niewzruszone - odznaka oddziałów badających obce cywilizacje.

- Zatem znacie już całą historię.

Nie miał zamiaru niczego dodawać ani wyjaśniać. Może Hume go oczyścił z zarzutów. Chciał tylko wyjść na wolność i zapomnieć, zapomnieć o Jumali oraz o Rasie Hume.

Nie widział łowcy, odkąd wsadzono ich obydwóch do koptera Gildii. Wass wyszedł z doliny jako bezrozumna, ogłupiała istota, nie wyswobodziwszy się mentalnie spod wpływu mocy, która zastawiła pułapkę. Na ile Vye się orientował, VIP wciąż jeszcze nie odzyskał władzy nad swoim rozumem i szansę na to wydawały się niewielkie. Hume natomiast, jeśli nie podyktował Patrołowi obciążających go zeznań, mógł uciec. Mieli powody, by go podejrzewać, nie poparte jednak żadnymi dowodami.

- Nadal odmawiasz zeznań?

Oficer obdarzył go jednym z tych twardych spojrzeń, które Vye nie raz widział na twarzach przedstawicieli władzy.

- Mam takie prawo.

- Masz prawo ubiegać się o odszkodowanie. To jest wysoka kwota, Lansor.

Vye wzruszył ramionami, a potem skrzywił się, czując ostrzegawcze napięcie poparzonej skóry na żebrach.

- Niczego nie chcę i odmawiam zeznań - powtórzył.

Miał zamiar to powtarzać dopóty, dopóki będą go dręczyć pytaniami. W ciągu ostatnich dwóch dni złożono mu dwie wizyty i już go to trochę zaczynało męczyć. Być może powinien zrobić to, co dyktował rozsądek, i zażądać, by go odstawiono na Nahuatl. Jedyne dziwne, niewyjaśnialne pragnienie, by jeszcze raz zobaczyć Hume'a, nie pozwalało mu wyrazić takiego życzenia.

- Lepiej zastanów się raz jeszcze - nalegał przedstawiciel władzy.

- Prawa człowieka...

Wyrecytowawszy to, Vye omal nie wybuchnął śmiechem. Po raz pierwszy w swym życiu, w którym był wiecznie czymś popychadłem, mógł użyć tej szczególnej frazy i żądać jej przestrzegania. Wydało mu się, że widzi kwaśny grymas na twarzy oficera, jednakże jego głos zachował obojętny ton, kiedy przemówił do mikrofonu przekaźnika:

- Odmówił nagrania zeznań.

Vye czekał na następny ruch, oznaczający koniec tej rozmowy. Oficer jednakże wyraźnie się odprężył, zarzucając oficjalny sposób bycia. Z wewnętrznej kieszeni uniformu wyciągnął paczkę korzennych papierosów i poczęstował nimi Vye'a. Ten, jakby nabierając podejrzeń, odmówił ruchem głowy. Oficer wyjął jedną z małych rurek, oderwał końcówkę zabezpieczającą i włożywszy ją między wargi, z zadowoleniem mocno się zaciągnął. W tym momencie drzwi kabiny rozsunęły się.

Vye poderwał się z miejsca na widok Rasa Hume'a.

Oficer machnął ręką w stronę Vye'a z miną kogoś, kto właśnie uporał się z jakimś trudnym problemem.

- Miałeś rację. On należy całkowicie do ciebie, Hume.

Vye patrzył to na jednego, to na drugiego. Nagranie Hume'a znalazło się w rękach władz, więc dlaczego go jeszcze nie aresztowano? Może oficerowie nie uważali ścisłego aresztu za konieczny, skoro znajdowali się na pokładzie krążownika Patrołu. Niemniej jednak łowca nie najlepiej odgrywał rolę więźnia. Wręcz przeciwnie, rozsiadł się na wysuwającym ze ściany siedzeniu ze swobodą człowieka, który czuje się jak u siebie w domu, i przyjął papierosa podsuniętego mu przez oficera.

- Więc nie zrobisz nagrania - zaczął pogodnie.

- Zachowujesz się tak, jakbyś chciał, żebym to zrobił! - Vye był tak oszołomiony tym dziwnym zwrotem wydarzeń, że jego głos zabrzmiał nieomal błagalnie.

- Rozczarowujesz mnie! Widzisz chyba, ile czasu i wysiłku kosztowało nas umieszczenie cię w miejscu, w którym mógłbyś dokonać swojego nagrania.

- Nas? - powtórzył Vye.

Oficer wyjął papierosa z ust.

- Opowiedz mu całą tę smutną historię, Hume.

Vye zaczynał jednak powoli domyślać się wszystkiego. Życie w „Roju Gwiazd”, na samym dnie portu, powodowało u jednych przytępienie, u innych wyostrenie inteligencji. Inteligencja Vye'a błyszczała jak kryształowe lustro.

- To wszystko było ukartowane?

- Zgadza się - powiedział Hume i spojrzał nieco zaczepnie na oficera Patrołu. - Równie dobrze mógłbym opowiedzieć całą prawdę, która, niestety, jest odrobinę wątpliwa z punktu widzenia prawa. Miałem powody, by narobić kłopotów klanowi Koganów, ale zupełnie nie było to związane z pieniędzmi. - Poruszył swą dłońią z plasta-ciała. - Kiedy znalazłem kapsułę ratunkową z largo drift i dostrzegłem wiążące się z nią możliwości, trochę sobie pomarzyłem i wymyśliłem ten plan. Jednakże jestem człowiekiem Gildii i tak się składa, że chcę nim pozostać. Zgłosiłem się więc do jednego z Mistrzów i opowiedziałem mu całą historię, tłumacząc, dlaczego nie zeznałem w raportach o swoim odkryciu na Jumali.

Mistrz przekazał informacje o kapsule ratunkowej Patrolowi i stwierdził, że

jest to znakomita możliwość założenia pułapki. I to był początek reakcji łańcuchowej. Tak się składa, że Patrol chciał dopaść Wassę, który był zbyt potężny i sprytny, by dać się postawić przed sądem. Uznali, że być może da się złapać na taką przynętę i to ja miałem nawiązać z nim kontakt. Wiadomo było, że on będzie mnie sprawdzał i wtedy się dowie, że mam doskonały motyw, by mścić się na Koganach. Udałem się do niego z tą historyjką i on ją kupił. Razem opracowaliśmy całe przedsięwzięcie, dokładnie według moich planów. Kontrolować miał mnie Rovald, wtyczka Wassę. Nie wiedziałem jednak, że Yactisi też jest wtyczką.

Oficer Patrolu uśmiechnął się.

- Zabezpieczenie - machnął niedbale papierosem - zwykłe zabezpieczenie.

- Nie przewidzieliśmy natomiast, że nastąpią takie komplikacje z obcymi. Ty miałeś zostać znaleziony jako rozbitek, sprowadzony do Centrum. Potem, kiedy Wassa byłby już głęboko zaangażowany w całą sprawę. Patrol miał ujawnić całą prawdę. I rzeczywiście złapaliśmy Wassę, a dzięki twojemu nagraniu już nam się nie wywinie i czeka go oskarżenie o dokonanie nielegalnego warunkowania. Dowiedzieliśmy się też o istnieniu obcej cywilizacji na Jumali, dzięki czemu nasze służby będą przez dłuższy czas miały pełne ręce roboty. I dlatego właśnie twoje nagranie jest tak bardzo nam potrzebne.

Vye przyglądał się z ukosa Hume'owi.

- A więc jesteś agentem?

Hume pokręcił głową.

- Nie... tak, jak mówiłem, jestem Poszukiwaczem Ścieżek, który przypadkiem dowiedział się o czymś, co pomogło wyeliminować przestępczą mafię działającą na kilkunastu planetach. Nie kocham klanu Koganów, ale pomoc w wykończeniu VIP-a na miarę Wassę bardzo pomaga w podniesieniu samooceny.

- To odszkodowanie... czy rzeczywiście mogę o nie wystąpić, mimo że cała sprawa była ukartowana?

- Twoje roszczenia mają pierwszeństwo wobec majątku Wassę. On bardzo dużo zainwestował w legalne przedsięwzięcia, choć prawdopodobnie nigdy nie wykryjemy wszystkich jego ukrytych funduszy. Ale w każdym razie wszystko, co znajdziemy, zostanie skonfiskowane. Czy mamy coś zrobić z twoimi udziałami? - spytał oficer.

- Tak.

Hume uśmiechał się łagodnie. Był zupełnie innym człowiekiem niż ten,

którego Vye poznał na Jumali.

- Premia dla Gildii wynosi tysiąc kredytów, dwa tysiące za wykszolenie i powiedzmy jeszcze jeden za najlepszy uniform, jaki możesz sobie kupić. Zostanie ci jeszcze jakieś dwa lub trzy tysiące, które będziesz mógł zaoszczędzić na zasłużoną emeryturę.

- Skąd wiedziałeś? - spytał Vye i w tym momencie mimo woli wybuchnął śmiechem słysząc, jak Hume odpowiada:

- Nie wiedziałem, ale zgadłem poprawnie, co? No dobrze, nastaw swój magnetofon, dowódco. Zdaje się, że możesz wreszcie skorzystać z prawa wolności słowa. Wstał.

- Widzisz, Gildia zainwestowała trochę w to, co odkryliśmy razem na Jumali. Może uda nam się jeszcze rozwiązać zagadkę doliny, rekrucie.

Wyszedł z kabiny, a Vye, który niczego bardziej nie pragnął, niż pożegnać się z przeszłością i jak najszybciej wkroczyć w przyszłość, sięgnął po dyktafon.